



Mary McBride



Piękna sąsiadka

PROLOG

No cóż, kochani, już prawie święto Halloween, ja zaś mam dla Was garść świeżutkich ploteczek. Czy znowu porozmawiamy o panu SM? Ten jakże hojny i niezwykle tajemniczy Samotny Milioner ponoć znów uderzył, tym razem celując prosto w pewien obiekt na Środkowym Zachodzie, co dla Was, drodzy Czytelnicy, jest prawie egzotyczną zagranicą.

Jaka szkoda, że obecnie nie mamy innych sprawdzonych informacji na ten arcyciekawy temat, poza tym drobnym szczegółem geograficznym. Z pewnością ktoś tam daleko w interiorze wie o tym coś więcej i chętnie się z nami swoją wiedzą podzieli. Zadzwońcie do mnie, kochani. Jak to się mówi, zamieniam się cała w słuch.

Sam Balfour trzasnął gazetą o blat biurka, jakby zabijał uprzykrzoną muchę.

- Ta kobieta jest gorsza niż pies myśliwski - wysyczał.

S. Edward Balfour IV, zwany wujem Nedem, podniósł głowę znad swojej gazety.

- Jest uparta, mogę cię o tym zapewnić. Przydałoby się więcej takich w naszym zespole.

- Nasz zespół, jak zechciałeś się wyrazić, wuju Nedzie, zostanie niedługo zdemaskowany przez tę harpię. Czy w ogóle cię to nie martwi?

- Nie - odparł wuj. - Mam inne zmartwienia. Proszę. - Podsunął mu dużą księgę. - Popatrz na to i powiedz, co o tym myślisz.

Sam zacisnął zęby i przeglądał album, w którym znajdowały się głównie fotografie starych zrujnowanych moteli na Środkowym Zachodzie.

- Bardzo ładne zdjęcia - ocenił. - Pod warunkiem, że ktoś lubi takie obiekty.

- Ja lubię - odparł wuj Ned i sięgnąwszy do szuflady biurka, wyjął z niej zielony folder, który podał Samowi. - Zajmij się tym, dobrze?

- To szalone prowadzić dalej te gierki - ostrzegł go Sam.

Wuj Ned tylko się uśmiechnął.

- Podejrzewam, że wszyscy jesteśmy trochę zwariowani, w ten czy inny sposób. Przeczytaj dokumenty, Sam. Dopilnuj, żeby czek dotarł na konto panny Libby Jost nie później niż w piątek.

Sam westchnął ciężko.

Znowu się zaczyna...

TLR

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Libby Jost stanęła przy oknie i uniosła kieliszek w geście toastu w kierunku widocznego po drugiej stronie autostrady z St. Louis dwudziestopiętrowego hotelu. W czerwonym chianti zamigotały jaskrawe światła prawie gotowego hotelu Markiz Halstrom.

- Pańskie zdrowie, panie Halstrom, o ile pan w ogóle istnieje. Witamy w sąsiedztwie.

Wychyliła wino, czując, że pozwoliła sobie na zbyt wiele. Nie przepadała za alkoholem. Ostatni raz wypła obowiązkowy kieliszek szampana w sylwestra, kilka miesięcy temu. Postanowiła zaczerpnąć haust chłodnego październikowego powietrza.

Wyszła przed budynek i z nostalgią popatrzyła na zniszczony neon nad drzwiami. Po tylu latach to doprawdy cud, że napis „wolne pokoje” dawał się jeszcze częściowo odczytać. Kiedyś napełniłoby ją to smutkiem, ale nie dzisiaj. Wiedziała, że wkrótce pojawi się nowy piękny neon, a motel Haven View znów zatętni życiem.

Ponownie podziękowała w duchu anonimowemu Świętemu Mikołajowi, który przysłał jej czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, zachwycony jej najnowszym albumem fotografii przedstawiających stare zapyziałe motele Środkowego Zachodu. Libby Jost od dekady pracowała jako reporterka gazety i zdobyła już wiele nagród, ale nigdy w postaci czeku na tak okazałą sumę.

Rozpierała ją duma, że została doceniona, a poza tym mogła wreszcie pomóc cioci Elizabeth, która po śmierci rodziców Libby w wypadku samochodowym wychowała ją w tym zrujnowanym motelu, obdarzając miłością i troską.

Upewniwszy się, że czek nie jest jakimś niewczesnym żartem, wzięła roczny urlop w gazecie i zaczęła snuć plany przywrócenia starym budynkom dawnej świetności.

Duże nadzieje wiązała z powstaniem naprzeciwko hotelu Markiz Halstrom, który będzie odsyłał nadmiar klientów do odnowionego motelu.

Libby z determinacją zabrała się za realizację planów. Sporządziła prowizoryczny budżet i była gotowa do działania.

Wyszła na zwirowy podjazd i spostrzegła, że jedna z latarni nie świeci. Co za pech. Żarówki zewnętrzne szalenie podrożały, a wypalały się stanowczo zbyt często.

Pomyślała, czyby nie zostawić ciemnej latarni, ale zerknąwszy na oświetlony hotel naprzeciw, postanowiła tego nie robić. Z westchnieniem udała się na poszukiwanie drabiny.

Po dziesięciu minutach uznała swój pomysł za chybiony. Już widziała nagłówki w gazetach: „Podchmielona kobieta ginie pod latarnią”.

Jakby tego jeszcze było mało, omiotły ją światła reflektorów i usłyszała zgrzyt żwiru na podjeździe. Czyżby spóźniony gość? Niemożliwe. Od miesiąca nikt nie zawitał do starego motelu.

Oślepiąca, nie była w stanie niczego zobaczyć. Jej uszu dobiegł trzask drzwi samochodu. Serce podeszło jej do gardła, uniemożliwiając krzyk. Jęknęła i zachwiała się na drabinie.

Upuściła żarówkę i omal nie spadła na rozbite szkło, gdy wtem niski głos zawołał: „Trzymam panią”, a mocne ręce chwyciły ją w pasie.

- Proszę puścić drabinę - polecił nieznajomy.

Libby zaczęła się wyrywać w panice.

- Do diabła - warknął. - Trzymam panią, przecież powiedziałem.

Zamknęła oczy, puściła drabinę i nastawiła się na bolesny upadek. Nic takiego nie nastąpiło.

Silne ramiona oplotły ją w niedźwiedzim uścisku, zazgrzytały odłamki szkła, po czym olbrzym delikatnie postawił ją na ziemi.

- Co pani tam robiła? - warknął. - Mogła pani skrócić sobie kark!

Serce Libby trzepotało w piersi niczym przerażony ptak w klatce. Nogi trzęsły się pod nią jak galareta. W przypiływie wściekłości krzyknęła:

- I co z tego? To mój kark!

Wpatrywał się w nią bez słowa, jakby się chciał nauczyć na pamięć jej kształtów i rysów.

Libby wojowniczo odpowiedziała na jego spojrzenie. Miała przed sobą mężczyznę nie tyle przystojnego, co o surowej urodzie awanturnika. Miał głęboko osadzone oczy i

granitową linię podbródka. Zachwiała się i stanęła nieco bliżej, dzięki czemu poczuła cudowny zapach jego wody kolońskiej, nie potrafiła go jednak zidentyfikować. Nagle olbrzym się uśmiechnął. Po obu stronach ładnie wykrojonych ust pojawiły się seksowne zmarszczki.

- Bardzo ładny - skwitował.

Libby zamruwała gwałtownie. Początkowa wrogość rozwiała się w chłodnym nocnym powietrzu. Zerknęła na jego wóz - ciemny zwinny jaguar - i uznała, że nieznajomy nie jest bandytą, gwałcicielem ani też potencjalnym gościem motelu. Ci ostatni zwykli jeździć brudnymi półciężarówkami.

- Czy jest szef? - spytał facet, zanim zdążyła się dowiedzieć, kim właściwie jest.

Roześmiała się w duchu. Mimo trzydziestki wyglądała na podlotka. I na pewno nie przypominała szefa, zwłaszcza że nie była całkowicie trzeźwa.

Zresztą faktycznie nim nie była. Od pół wieku motel należał do jej ciotki, która teraz przebywała w szpitalu ze złamanym biodrem. Libby ją tylko zastępowała.

- Tymczasowo to ja prowadzę interes. - Wyprostowała się i wystudiowanym gestem podała mu rękę. - Nazywam się Libby Jost. W czym mogę panu pomóc?

Na jego usta wypłynął zmysłowy uśmiech.

- Nie sądzę, żebyś obecnie mogła komukolwiek udzielić pomocy, moja mała. - Mówiąc to, podtrzymał ją za ramię. - Mam rację?

W jego głosie był ślad teksańskiego akcentu. Libby poczuła, że robi jej się niedobrze i jeśli natychmiast nie pomknie do biura, wywoła prawdziwy skandal.

- Przepraszam - wymamrotała i pędem wpadła do motelu.

David Halstrom nie po raz pierwszy spotkał kobietę, która za dużo wypija, lecz jak dotąd żadna nie trzymała się kurczowo drabiny ani nie przypominała upadłego, rozkosznie piegowatego anioła. Była tak śliczna, nawet w słabym świetle latarni, że niemal zapomniał, po co tu w ogóle przyjechał.

Westchnął i ruszył do wejścia, nad którym brzęczał stary wyblakły neon. Zastukał i nie usłyszawszy odpowiedzi, wszedł do wnętrza ruiny, której mieniła się szefem.

Biuro motelu było tak zapuszczone, jak się spodziewał, umeblowane w stylu lat pięćdziesiątych. Nie zdziwił się na widok stojącego w kącie małego czarno-białego tele-

wizora z anteną. Na parapecie stały zakurzone, na wpół uschłe rośliny. Dobry Boże, czy ludzie naprawdę chcieli tu mieszkać? I jeszcze za to płacili?

Pod ścianą stała spłowiała sofa w kwiaty. Na stoliku przed nią w jednej trzeciej opróżniona butelka chianti i pusty kieliszek. Aha, zatem wszystko jasne.

Zapukał lekko do przyległych drzwi, uchylił je odrobinę i zajrzał do słabo oświetlonej sypialni. Sprawiała znacznie lepsze wrażenie niż biuro. Roznosił się w niej miły zapach lawendy, na łóżku zaś leżała skulona Libby.

Ból głowy jutrzejszego ranka przypomniał jej, że picie taniego wina niesie opłakane skutki.

- Miłych snów, aniele - szepnął. - Jak stracisz tę pracę, przyjdź, to cię zatrudnię.

Cicho zamknął drzwi i wrócił na parking.

Szybki spacer wokół nędznej posesji potwierdził podejrzenia Davida. Motel nadał się do wyburzenia, a on to chętnie załatwi. Wsiadł do auta i pojechał do swojego hotelu naprzeciwko. Jadąc, wybrał numer swojego asystenta.

Jeff Montgomery pracował dla niego od pięciu lat. Ciągły stres, trudne wyzwania, jakie stawiał przed nim szef, i nieustanne podróże zdawały się sprawiać mu niekłamaną satysfakcję.

- Muszę wiedzieć wszystko na temat motelu Haven View - powiedział mu teraz David. - Kto jest właścicielem, czy istnieje zadłużenie, zaległość podatkowa. Wszelkie dostępne informacje. Oprócz tego dowiedz się, kim jest niejaka Libby Jost. Chcę to mieć na biurku jutro do dziesiątej, Jeff.

- Załatwione, szefie - brzmiała natychmiastowa odpowiedź.

David Halstrom był do tego przyzwyczajony.

Był przyzwyczajony zawsze dostawać to, czego chciał, więc miał pewność, że za kilka dni wejdzie w posiadanie motelu Haven View. Co zaś do rudawoblond upadłego anioła, to nawet jeśli nie będzie go jeszcze posiadał, to na pewno znajdzie się on na jego liście płac.

ROZDZIAŁ DRUGI

O dziesiątej następnego rana Libby w spranych dżinsach i grubym białym golfie pokazywała malarzowi zakres prac w motelu. Głowa pękała jej z bólu, co jej specjalnie nie dziwiło. Była ciekawa, gdzie się podział potężny nieznajomy, ale wołała nie rozmyślać za wiele o poprzednim wieczorze.

Jak zwykle z jej szyi zwieszał się aparat, fotograf bowiem nigdy nie wie, kiedy pojawi się okazja do zrobienia zdjęcia. Dziś szczególnie jej ciążył i cieszyła się, że malarz nie posuwa się zbyt szybkim krokiem. Popijając drobnymi łykami gorącą kawę, czekała na wynik oględzin.

Mężczyzna marszczył czasem brwi, jakby myślał: Hm. To nie będzie tanie. Kiedy indziej przygryzał wargi, co Libby odczytywała tak: W całym stanie Missouri nie ma tyle farby, żeby to zniszczone domisko wyglądało choć trochę lepiej. Raz nawet malarz spojrział w niebo z ciężkim westchnieniem, co zapewne oznaczało, że nie podejmie się tej pracy za żadną cenę.

Nie mogąc wytrzymać napięcia, Libby poprosiła, żeby spokojnie kontynuował oględziny, sama zaś wróciła do biura. Zatrzymała się na moment przy latarni, chcąc sprawdzić, czy na pewno wybierała wszystkie odłamki szkła po wczorajszym incydencie.

Wtem usłyszała znajomy warkot silnika. Na podjazd wjeżdżał właśnie ciemnozielony jaguar. Libby zaklęła pod nosem, czując, jak niski zmysłowy dźwięk drażni jej trzewia. Oj, chyba już nigdy więcej nie napije się obrzydliwego chianti.

A może wstydziła się z powodu swojego wczorajszego zachowania? Kimkolwiek był i czego chciał nieznajomy olbrzym, z pewnością źle sobie o niej pomyślał. Powinna go przeprosić i podziękować mu za ratunek.

Przyszło jej na myśl, że jego bajeczne auto kosztowało znacznie więcej, niż wynosił czek od anonimowego wielbiciela jej talentu. Rozbudziło to jej ciekawość co do intencji nieznajomego.

Instynktownie odstawiła kubek i chwyciła aparat. Zrobiła mu zdjęcie, gdy wysiadał z jaguara.

Wydał jej się wyższy i muskularniejszy, niż zapamiętała, ale jego twarz się nie zmieniła. Twarde rysy, surowa męska uroda. Znacznie lepiej pasowała do zakurzonego pikapa niż lśniącej luksusowej limuzyny.

Zbliżał się do niej, osłaniając oczy przed słońcem. Cholera, naprawdę chciała uchwycić tego kowboja z reklamy Marlboro, zwłaszcza jego ujmujący uśmiech, ale nic z tego.

Opuściła aparat, on zaś opuścił rękę.

- Jak się dziś czujesz? - spytał.

Wyczuwając ironię, Libby ułożyła usta w szeroki uśmiech.

- Na sto procent.

- Czyżby? - Przyglądał jej się spod zmrużonych powiek.

Uznała, że go nie przekona. W końcu wczoraj omal mu nie zwymiotowała na buty.

- Właściwie to na osiemdziesiąt pięć, ale tendencja jest definitywnie wzrostowa.

- No tak. - Podał jej kubek z wystygłą kawą. - Alkohol często tak działa. - Powiódł wzrokiem po jej twarzy, na sekundę zatrzymał go na biuście, po czym wskazał nikona. - Po co ci aparat?

- Zajmuję się fotografią. - Upiła łyk kawy.

- Myślałem, że kierujesz motelem.

- Robię obie te rzeczy naraz - odparła ze śmiechem. - Jestem Libby Jost. - Miejscowi najczęściej rozpoznawali jej nazwisko, ale kowbojowi nic ono nie powiedziało. Podała mu rękę. - A ty jesteś...?

- David. - Jego uścisk był mocniejszy, niż się spodziewała. - Jestem... - urwał, po czym wskazał na hotel po drugiej stronie autostrady - projektantem tego błyszczącego pudełka.

W przeszklonej fasadzie hotelu Markiz Halstrom odbijało się błękitne jesienne niebo i kilka pierzastych obłoków. Libby była zachwycona.

- Wspaniały projekt - pochwaliła. - Uwielbiam robić mu zdjęcia. Co dzień wygląda inaczej, czasem z chwili na chwilę. Teraz na przykład to śliczny pionowy kawałek nieba.

- Dzięki. Za kilka tygodni wielkie otwarcie. Może chcesz zaproszenie? - Parsknął nieco demonicznym śmiechem. - Będzie darmowy alkohol, jeśli to dla ciebie zachęta.

- Wierz mi, wyrzekłam się go. Ale chętnie przyjdę, dziękuję za zaproszenie.

- Załatwione. - Po chwili rozmawiał już z kimś o umieszczeniu jej na liście gości. -

Nieważne, nie martw się tym - powiedział do słuchawki. - Adres nie jest potrzebny, dostarczę je osobiście.

Mówiąc to, spojrzał na nią w taki sposób, że przeszedł ją dreszcz. Chcąc odzyskać rezon, szybko upiła łyk kawy.

Facet jest niezły, pomyślała, nie tylko w projektowaniu. Jego technika uwodzenia wyraźnie na nią działała.

Pochłonięta rozważaniami nie zauważyła, że podszedł do nich malarz.

- Oto szacunkowa wycena - oznajmił. - Kupa pracy, zważywszy na stan budynku.

Tu ma pani mój numer, proszę dzwonić, jak się pani zdecyduje.

- Dziękuję, na pewno się odezwę. - Ucieszyła się, że majster podjął się tej trudnej roboty.

Mężczyzna odszedł, ona zaś zaczęła przeglądać papiery. Oczy niemal wyszły jej z orbit jak w kreskówce. Nie wiedziała, czy zemdleć, czy też uciec z krzykiem. To było straszne.

Malarz zażądał trzydziestu siedmiu tysięcy dolarów, wobec czego zostawało jej ledwie trzynaście tysięcy na resztę niezbędnych prac: wymianę rur, kaloryferów, wykładzin, łóżek, pościeli i oświetlenia, nie licząc choćby drobnych nakładów na reklamę i instalację nowego neonu nad wejściem. Nie miała bladego pojęcia, że jej marzenia okażą się aż tak kosztowne, plasując się całkowicie poza jej zasięgiem.

Skamieniała ze zgrozy Libby uświadomiła sobie mgliście, że David wyjął z jej rąk papiery. Następnie usłyszała prychnięcie, stłumione przekleństwo oraz odgłosy darcia. Po chwili zrozumiała, że jej wycena opada na ziemię w postaci drobnych kawałeczków papieru, jakby nieoczekiwanie zaczął padać śnieg. Dobrze, że nie miała zamiaru dzwonić do malarza.

- To kompletne bzdury - warknął David. - Granda w biały dzień. Jestem pewien, że facet nie chciał wziąć tej roboty, dlatego tak zawyżył wycenę. Chciał cię zwyczajnie odstraszyć.

- Świetnie mu się udało - przyznała ponuro. - Już nie mogę się doczekać, czy tak samo postąpią hydraulik z elektrykiem. Mogę to sobie wyobrazić! - próbowała żartować, ale wcale nie było jej do śmiechu.

- Posłuchaj, mogę ci przysłać swoich robotników, którzy pomalują ci budynek za jedną dziesiątą tej ceny albo i mniej.

- Twoich robotników? - powtórzyła zdezorientowana. Głowa nadal ją bolała, choć czuła się lepiej niż rano. - Nic nie rozumiem.

- Malarzy z Markiza - wyjaśnił, otwierając klapkę komórki.

- Przecież jesteś architektem - bąknęła. - Jakim cudem...

- Tak czy siak, w tej chwili jestem kierownikiem tego bałaganu naprzeciwko - rzucił niecierpliwie.

- Ale...

Zatrzasnął aparat i spojrzał na nią tak, jakby wątpił w jej inteligencję.

- Słuchaj, to naprawdę prosta sprawa. Czy chcesz odmalować motel, porządnie i za rozsądną cenę, czy nie? Zdecyduj się.

Wyraźnie należał do ludzi, którzy błyskawicznie podejmują decyzje, podczas gdy ona lubiła wielogodzinne rozważania, po czym i tak nie była pewna, czy postąpiła właściwie. Teraz nie było na to czasu.

- Tak - odparła z mocą. - Chcę, żeby robota została wykonana fantastycznie i z olbrzymim upustem.

- Załatwione. - Wybrał numer, wydał kilka poleceń przerywanych przekleństwami, po czym schował telefon. - Ekipa będzie za dwadzieścia minut. Spisz listę prac do wykonania. Tylko szczegółową, pamiętaj.

Libby skinęła głową. Sporządzenie listy zajmie jej pięć sekund. Punkt pierwszy: pomalujcie wszystko. Punktu drugiego nie było.

Podczas gdy Libby pracowała nad listą, David ponownie obszedł cały teren, mrużąc pod nosem i powtarzając sobie, że chyba oszalał. Zaproponował odnowienie przekłętego motelu, który przecież zamierzał zburzyć.

Jak brzmiało to stare powiedzonko? Malowanie świni szminką? Na ten chlew nie wystarczyłoby zapasów szminki z całego świata.

Z drugiej strony ekipa i tak czekała w gotowości, na wypadek gdyby w Markizie pojawiły się jakieś problemy, więc nic go to nie kosztowało. Zresztą nie tyle szło o pieniądze, ile o tę rudawoblond piękność...

Musiał oszaleć na jej punkcie, skoro uznał za stosowne skłamać, kim jest. Przedstawił się jako architekt, facet do wynajęcia, a nie Sam Najważniejszy Szef. Już to wystarczyło, by powątpiewać w jego zdrowe zmysły.

Wcale tego nie planował, jakoś samo wymknęło mu się z ust, gdy podając mu ciepłą dłoń, spytała: „A ty jesteś...?”. Przez ułamek sekundy naprawdę zapomniał, kim jest, gdzie i co robi.

Nie był kłamcą, choć kilkakrotnie zdarzyło mu się nagiąć prawdę w interesach. Jednak w stosunkach z kobietami nigdy nie kłamał ani niczego nie obiecywał. A trzeba przyznać, że w swoim czasie zawierał mnóstwo znajomości.

Od lat obserwował twarze kolejnych kobiet i mowę ich ciał, które zmieniały się gwałtownie na dźwięk nazwiska David Halstrom. Wyglądało to tak, jakby w mgnieniu oka Grek Zorba stawał się Onassisem. Działo się tak nieodmiennie, rok po roku, twarz po twarzy. Kobiety patrzyły na Zorbę z ciekawością i prawdziwym uczuciem. Onassisa natomiast obserwowały jak swoje odbicie w oknie banku.

Obecnie David miał trzydzieści sześć lat, a milionerem został w wieku lat dwudziestu jeden. Przez ostatnią dekadę był multimiliarderem. Dopóki jednak jego wzrok nie spoczął na Libby Jost, rudoblond piękności o bładoniebieskich oczach i nienagannej figurze, nie uświadamiał sobie, jak bardzo pragnie być traktowany jak zwykły facet, a nie sejf bankowy.

A niech tam, przez kilka tygodni będzie uchodził za architekta, potem zaś wyzna prawdę, a fakt, że jest bogaty jak sam Bóg, z pewnością udobrucha oszukaną Libby.

Uznał, że lepiej będzie zniknąć, zanim przyjedzie ekipa malarzy i powita go prawdziwym nazwiskiem. Pożegnał się z Libby i zostawił jej numer prywatnej komórki, na wypadek gdyby go potrzebowała. Wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, jak bardzo pragnie, żeby tak się właśnie okazało.

Ekipa malarzy składała się z czterech mężczyzn około trzydziestki, ubranych w poplamione farbami kombinezony robocze. Każdy z nich miał długie włosy związane w

kitkę i kolczyki w uszach lub nosie. Przypominali raczej członków zespołu rockowego niż robotników. W nadziei, że David wiedział, co robi, przekazała im listę, oprowadziła po terenie, po czym uzbroidła się w uśmiech w oczekiwaniu na nieuchronne złe wieści.

- Więc jak? - spytała, gdy zakończyli inspekcję. - Dacie radę? I za ile?

Najwyższy z nich prychnął, wzruszając ramionami.

- Ciężka sprawa, psze pani, bez dwóch zdań. Ale damy radę. O ile wiem, ma pani zapłacić tylko za farbę. My i tak mamy dyżur w Markizie, jakby nagle trzeba było coś poprawić, więc jesteśmy opłacani. Tu czy tam, to nie ma dla nas znaczenia.

Libby nadal wstrzymywała oddech, czekając na konkretną sumę.

- Przypuszczam, że siedemset dolców pokryje koszt materiałów - oznajmił. - Mogłem się pomylić o parę w tę czy w tamtą.

Z tylnej kieszeni wyjął próbnik kolorów.

- Jeśli zdecyduje się pani na kolory farb, moglibyśmy je kupić i zacząć od razu po lunchu.

Libby napawała się jeszcze cudowną wiadomością - siedemset dolarów, kilka dolców w tę czy w tamtą. Czuła się tak, jakby wygrała los na loterii. Sprawy znów przybrały pomyślny obrót, mimo przeżytego rankiem horroru.

- Psze pani? - Malarz zamachał jej przed nosem próbnikiem.

- Och, przepraszam. - Spojrzała na paletę. - To zajmie chwilę, od tygodni mam już te kolory w głowie. Na ściany nasycony odcień kości słoniowej. Właśnie ten. - Postukała paznokciem w próbkę. - Drzwi i framugi w barwie ciemnej zieleni. O, takiej. Doskonale.

- Super - rzekł malarz. - No to ustalone. Zbierajcie się, chłopcy. Ruszamy.

Libby także wyruszyła, gdy tylko przybył na miejsce jej zastępca, na którym zawsze mogła polegać, Douglas Porter. Znała go od drugiego roku życia i tak jak ciotka Elizabeth opiekowała się nią jak matka, on zastępował jej ojca. Z poświęceniem uczestniczył w dziesiątkach wywiadówek, przedstawień szkolnych i koncertów, a także w każdym ważnym wydarzeniu z jej dorosłego życia. To od niego dostała na dziesiąte urodziny pierwszy aparat fotograficzny i to on cierpliwie uczył ją jego obsługi. Nie licząc okrągłej sumki, jaką w ciągu wielu lat wydał na filmy, obiektywy i wywoływacze.

Po prawdzie nie był jej wujem. Na ślubie cioci i wujka Joe odgrywał rolę drużby, a gdy wujek zaginał na wojnie w Korei, po prostu trzymał się blisko. Dla każdego było jasne, że kochał ciocię Elizabeth, Libby zaś nie przestała żałować, że się nie pobrali.

- Elizabeth jest dzisiaj w świetnej formie, Lib - oznajmił od progu. - Pewnie cię to ucieszy. Co słyszeć? Ilu mamy gości?

Ostatnie pytanie było ich zwyczajowym dowcipem, więc Libby odpowiedziała jak zawsze:

- Nie więcej, niż dasz radę obsłużyć, Doug. - Przystanąła w drzwiach i dodała: - Aha, po południu przyjdą malarze. Wiedzą, co robić, więc nie musisz się nimi zajmować.

- Malarze? - powtórzył z niedowierzaniem. - Jakim cudem...?

- To nic takiego - odparła nonszalancko. - Mają trochę odświeżyć tę budę.

Zamykając drzwi, słyszała, jak mruczy pod nosem o wyrzucaniu pieniędzy w błoto.

Zaparkowawszy przed szpitalem, Libby nadal się uśmiechała. Zastukała cicho do pokoju cioci i weszła, z zadowoleniem odnotowując nieobecność zrzędliwej współmieszkanki. Ciocia przywitała ją posepną miną.

- Wynajęłaś malarzy, Libby? Co też ci przyszło do głowy, moje dziecko?

- Ach, czyli Doug zdążył już zadzwonić - odparła Libby, wzdychając, i przysunęła sobie krzesło. - Niepotrzebnie. Chciałam ci zrobić niespodziankę, ciociu.

- Udało ci się. Jestem kompletnie zaskoczona, ale wcale mnie to nie cieszy - mruknęła ciocia, podciągając kołdrę pod brodę. - Nie powinnaś wyrzucać pieniędzy...

- Chwileczkę. - Libby podniosła rękę jak policjant na skrzyżowaniu. Był to jedyny sposób przerwania słowotoku starszej pani. - Udało mi się tak to załatwić, że odnowienie wyjdzie bardzo tanio.

- Ile będzie kosztowało? - spytała ciocia, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Siedemset, najwyżej osiemset dolarów.

- Nie wierzę - rzuciła ciocia.

- Ależ to prawda, ciociu - zachnęła się Libby. - Mogę ci nawet pokazać czek, jak go wypiszę.

Starsza pani mlasnęła z niezadowoleniem.

- Przypuszczam, że już za późno, żeby powstrzymać ten nonsens?

- Tak - odparła z mocą Libby.

Ciocia nie zamierzała się poddać. Spojrzała w okno, po czym zadała złowieszczym tonem pytanie:

- Zatem słucham, jakie kolory wybrałaś? Wiesz dobrze, że nie lubię zmian, Libby, a kiedy wujek Joe wróci do domu, chciałby go zastać takim, jakim go zostawił, gdy wyruszał do Korei na wojnę.

On już nie wróci, chciała wrzasnąć Libby, ale w porę się powstrzymała. Ciocia była absolutnie sprawną umysłowo kobietą, odmawiała jedynie przyznania, że jej mąż od pół wieku nie żyje. „Pokażcie mi jego świadectwo zgonu”, zwykła mawiać. I na tym kończyła się rozmowa, skoro bowiem żołnierz zaginął w akcji, takiego świadectwa nie było. Ciocia miała zawsze ostatnie słowo.

Gdy Libby była jeszcze mała, święcie wierzyła, że wujek Joe pewnego dnia powróci. Dopiero Doug wytłumaczył jej kiedyś, że zaginął pół wieku temu i z pewnością nie żyje.

Przyjaciele i znajomi cioci Elizabeth latami tolerowali tę jej upartą wiarę w cuda. Doug zdawał się nie zwracać na to uwagi. Libby także się do tego przyzwyczaiła. Gdy ciocia zaczynała mówić o powrocie męża, każdy starał się uśmiechnąć z sympatią i jak najszybciej zmienić temat.

- Powiedz mi o kolorach, Libby - poprosiła teraz ciocia.

- Spodobają ci się, zobaczysz. Staralam się wybrać ten sam odcień kości słoniowej i zieleni, jaki był od początku w Haven View.

- Przyznam, skarbie, że sama tak właśnie bym postąpiła. Już nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę.

Libby skinęła z mieszaniną wzruszenia i ulgi. Jak dotąd akcja niespodzianka rozwijała się pomyślnie. Przed nią jeszcze czterdzieści dziewięć tysięcy z przeznaczeniem na dalsze niespodzianki. Nie będzie lekko.

Na szczęście teraz nie musiała o tym rozmawiać. Pogawędziły wesoło, a kiedy pacjentka dzieląca z ciocią pokój wróciła, Libby pożegnała się i wyszła. Zapinała pas, gdy zadzwoniła komórka.

Niedźwiedziowaty David nie marnuje czasu, przemknęło jej przez myśl. Ledwie odebrała, już spytał:

- Masz jakieś plany na wieczór? Może zjemy razem kolację?

Z trudem powściągnęła uśmiech, choć przecież nie mógł jej widzieć.

- Zamierzałam kupić po drodze chrupiącą sałatę z włoskim dressingiem i grzankami - odrzekła zgodnie z prawdą - a w domu zjeść ją z makaronem i serem. Może chciałbyś mi towarzyszyć?

- Mam lepszy pomysł - oznajmił.

Faktycznie, musiała przyznać Libby, gdy już się rozłączyła. Wykwintna kolacja w apartamencie na najwyższym piętrze hotelu Markiz niewątpliwie przewyższała sałatę na wynos i banalny makaron zapiekany z serem z mikrofalii.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Drzwi windy do penthouse'u zadźwięczały dyskretnie i rozsunęły się z szumem. David czekał na gościa w wykładanym marmurem westybulu. Wiedział, że dziewczyna jest piękna, lecz na widok arcydzieła w kolorze ciepłej brzoskwini jego serce przyspieszyło rytm. Libby wyglądała wprost oszalamiająco. O ile wcześniej zwyczajnie go pociągała, to teraz cały zapłonął z pożądania.

Wyszła do westybulu, ukazując delikatną stopę w lekkim złotym sandałku i długą kształtną łydkę. Bładobrzoskwiniowy materiał sukni ciasno opinał biust i biodra niczym druga, błyszcząca skóra. David przełknął ślinę. Niestety, niewiele mu to pomogło.

- Witaj w hotelu Markiz - wykrztusił, podchodząc i ujmując jej dłoń.

Z trudem powstrzymał się, by jej nie porwać w ramiona. Pomyślał, że z racji pracy z pewnością stoi po niewłaściwej stronie aparatu.

- Dziękuję. - Zaśmiała się lekko ochryple i szalenie zmysłowo. - Wiem, że przesadziłam ze strojem - dodała - ale uznałam, że skoro jedyny raz mam okazję odwiedzić ten hotel i penthouse, to równie dobrze mogę pójść na całość.

David zacisnął zęby. Za żadne skarby nie zamierzał komentować tej uwagi.

Zamrugła, a jej aksamitne policzki poróżwiały.

- Jeśli chodzi o strój - wyjaśniła.

Co za idiotka, zrugła się w duchu Libby. Plecie jak na mękach. Jej towarzysz - szalenie elegancki w czarnym kaszmirowym golfie i spodniach ze starannie zaprasowanymi zaszewkami - pomyśli, że jest niepoprawną kretynką. Zakłopotana powiodła wzrokiem po apartamencie i zatrzymała go na przeszklonej ścianie od południa.

- Och, co za widok - zawołała. - Oblędny.

- Chodź, popatrzymy - odparł David, ujmując ją za rękę i prowadząc po miękkim orientalnym dywanie rozmiarów piłkarskiego boiska. Skórzane fotele i sofy połyskiwały w blasku lamp, podobnie jak blaty niskich szklanych stolików. Czuła się tak, jakby wylądowała na planie sesji do kolorowego czasopisma „Dom i Ogród”.

Choć wewnątrz penthouse'u prezentowało się niezwykle wytwornie, rozciągająca się z niego panorama wprost zapierała dech. Przynajmniej tak się Libby zdawało, póki nie

zatrzymała spojrzenia na zaniedbanym terenie wokół obskurnego motelu Haven View po przeciwnej stronie autostrady. Nigdy dotąd nie widziała go z lotu ptaka i musiała przyznać, że widok był dość odpychający. Gorzej, zniszczona buda wyglądała ohydnie. Typowa podmiejska ruina, porośła brudem, zapuszczona i kompletnie zaniedbana.

Małe drewniane domki dla gości, które tak chciała odmalować, przypominały raczej wygodki, a szklane kule latarni wzdłuż podjazdu były tak zakurzone i pokryte truchłami owadów, że wcale nie błyszczały. Zmrużywszy oczy, zauważyła nawet wyraźne ubytki w pokryciu dachów, o czym nie pomyślała, sporządzając budżet na renowację.

Całość sprawiała wielce przygnębiające wrażenie. Powróciła obawa, że pięćdziesiąt tysięcy dolarów z pewnością nie wystarczy na przywrócenie starego motelu do dawnej świetności. Nieświadomie musiała westchnąć czy mruknąć coś pod nosem, bo stojący przy niej David musnął jej ramię, pytając, co się stało.

Katastrofa, chciała odpowiedzieć, ale wzięła się w garść i przywołała uśmiech na usta.

- Na szczęście biedny stary motel przez większą część roku zasłaniają liście - odrzekła - więc goście hotelu Markiz nie będą się uskarżać na brzydki widok. Zła wiadomość jest taka, że jego stan jest znacznie gorszy, niż sądziłam.

Machnęła ręką, jakby chciała odpędzić niewesołe myśli, i dodała, że nie ma ochoty dłużej o tym rozmawiać.

Przez twarz Davida przemknął cień współczucia. Wziął ją za rękę ze słowami:

- Zostawmy na razie widok od południa. Pokażę ci, jak pięknie jest od wschodu i zachodu.

Po wschodniej stronie znajdował się szeroki, wyłożony łupkiem taras, umeblowany kunsztownymi sprzętami z kutego żelaza. Libby bez trudu wyobraziła sobie, jak w satynowym szlafrocisku i takichże rannych pantofelkach niespiesznie rozkoszuje się późnym śniadaniem, złożonym z rogalików i mocnej jamajskiej kawy. Niemal czuła ich smak na języku.

- W pogodny dzień widać łuk - powiedział David. - Powinnaś tu wrócić z aparatem.

- Bardzo bym chciała. Mogłabym zrobić kilka naprawdę ciekawych ujęć.

Przeszli przez kolejne wytwornie umeblowane pokoje i znaleźli się przy zachodniej ścianie. David wcisnął guzik na konsoli obok szerokiego łóża, a wówczas draperie rozsunały się bezszelestnie. W dole na autostradzie reflektory aut jadących na wschód lśniły niczym diamenty, podczas gdy tylne światła pojazdów zmierzających na zachód mieniły się rubinowym blaskiem. Nad nimi wznosiła się kopuła rozgwieżdżonego nieba. Libby zabrakło tchu w piersi.

Ach, jak żałowała, że nie ma przy sobie aparatu oraz kilku filtrów i obiektywów. Przydałby się także trójnóg, żeby uchwycić niezwykłą grę migotliwej rzeki światła na autostradzie. Mimo uprzejmego zaproszenia Davida szczerze wątpiła, że jeszcze tu kiedyś zawita.

- Czy Halstrom ma taki apartament w każdym swoim hotelu? - spytała.

- Raczej tak - odparł zdawkowo. - Jednak kiedy go nie ma, można go wynajmować gościom za odpowiednią cenę.

- Lepiej mi nie mów - poprosiła Libby. - Jak pomyślę, że stajemy na głowie, żeby wynająć nasze skromne domki za sześćdziesiąt pięć dolarów za dobę... - Przyszło jej na myśl, że ta niewygórowana suma i tak nie jest adekwatna do jakości oferowanego noclegu. Jezu. Niedługo trzeba będzie płacić gościom, żeby zechcieli się u nich zatrzymać.

- Być może odnowienie motelu coś zmieni - zasugerował David bez przekonania.

- Tak, nigdy nic nie wiadomo. - Westchnęła.

Zapewne otrzymane znieścacka pieniądze można by też lepiej wykorzystać niż na renowację starej budy. Może powinna to sobie jeszcze raz przemyśleć? Wzorem Scarlett O'Hary postanowiła odłożyć to do jutra.

Zmusiła się do uśmiechu i spytała:

- Obiecałeś mi kieliszek wybornego wina, Davidzie, czyż nie?

Stare francuskie wino koloru granatu było bez wątpienia najlepszym trunkiem, jaki Libby w życiu piła. Sączyła je drobnymi łyżkami, pamiętając o swoim wczorajszym występie, podczas gdy David oprowadzał ją dalej po luksusowych wnętrzach. Uznała, że za wstęp do łazienek powinien pobierać sowitą opłatę.

Kolacja wjechała na dwóch lśniących srebrzystych wózkach, toczonych przez parę elegancko ubranych kelnerów. Poruszali się bezszelestnie, jakby brali udział w niemym filmie, zwinnie rozstawiając naczynia i rozkładając sztuce.

Do wyboru były cztery dania: łosoś w maślanym sosie, przepyszny filec mignon, jagnię w sosie miętowym i kurczę z różną z trufkami. Libby zdecydowała się na jagnię, po czym omal nie poprosiła o zapakowanie pozostałych potraw do domu, jak to się robi w pizzeriach. Kelnerzy natychmiast odjechali z wózkami.

- Och, jaka szkoda - rzekła z westchnieniem, gdy znikali w drzwiach windy.

- Nie martw się - pocieszył ją David, zabierając się za apetycznie pachnące kurczę.

- Jedzenie się nie zmarnuje, zostanie zjedzone przez obsługę. Szef kuchni dopracowuje menu. Kazałem mu przysłać cztery dania, bo nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę. Nie wahaj się krytykować. Jak jagnię?

- Przepyszne - wyznała, połykając kęs. - Takie delikatne... A warzywa kruche i tak świetnie przyprawione...

Nabrała na widelec miniaturową marchewkę polaną stopionym masłem i oproszoną natką pietruszki oraz ziołem, którego nie znała.

- Zwykła marchew, a jaka smaczna. - Przewróciła oczami z zachwytem.

David ukroił porcję kurczęcia i wsunął do ust.

- Jestem pewien, że szef się stara - powiedział. Upił łyk wina i dodał: - Chętnie dowiem się czegoś więcej o twojej pasji fotografowania.

Ucieszyła się, gdyż był to jej ulubiony temat i mogła o tym rozmawiać godzinami. Jednak za każdym razem, gdy próbowała skierować konwersację na inne tory i dowiedzieć się czegoś o swoim uroczym gospodarzu, David zrećnie powracał do kwestii filtrów i obiektywów.

Po kolacji wrócili do salonu z przeszkloną ścianą. Libby oszczędziła sobie tym razem spojrzenia na obskurny motel. Dochodziła północ, gdy wspomniała o powrocie do domu.

- Wuj Doug ma osiemdziesiąt lat i należy mu się odpoczynek - wytłumaczyła.

- Przy założeniu, że musiał się uwijać przez cały wieczór wskutek najazdu gości - zauważył z powagą David.

Z trudem tłumił śmiech. Libby podobało się jego poczucie humoru, choć jej samej nie było zbyt wesoło.

- Kto wie - rzuciła, wstając, i podała mu rękę. - Wspaniała kolacja, Davidzie. Dziękuję.

Odsunął jej dłoń i objął ją, przyciągając do siebie. Pocałował ją w czubek głowy, potem w czoło i nos.

- Marzyłem o tym przez cały wieczór, Libby - wyszeptał.

Jego ciepły oddech pachniał drogim winem.

Nim zdążyła zareagować, nakrył jej usta swoimi. Zakręciło jej się w głowie i z trudem zdławiła jęk, który zdradziłby, jak bardzo jej samej zależało na jego dotyku.

Odchylił się nieco i kciukiem uniósł jej brodę. Zielonkawe oczy pociemniały od tłumionej pasji.

- Zostań tu ze mną. Nie wracaj do tej nory.

Poczuła ukłucie w sercu i zamrugła powiekami.

Zacisnęła wargi i wysunęła się stanowczo z jego objęć.

- Nie chcę być nieuprzejma - rzekła - zwłaszcza po tej wybornej kolacji i dlatego, że naprawdę cię polubiłam, Davidzie. Ale nie pozwolę, żebyś ty albo ktokolwiek inny naśmiewał się z dorobku życia mojej ciotki. - Urwała, wpatrzona w niego. - Mam nadzieję, że wyraziłam się jasno.

- Rozumiem - odparł.

Sprawiał wrażenie lekko przestraszonego jej nagłą zmianą zachowania.

- Już nigdy tego nie zrobię.

- Cieszę się, że tak to pojmujesz - powiedziała z uśmiechem. Potem uniosła brodę i postukała się palcem w usta. - A teraz pocałuj mnie na dobranoc. Proszę...

Kobiety rzadko mogły się z nim mierzyć, czy to pod względem zawodowym, czy też prywatnym. Nawet nie pamiętał, kiedy miał z taką ostatnio do czynienia. Do diabła, niewielu było nawet takich mężczyzn. Mała Libby była tygrysią w połyskliwym brzoskwiniowym jedwabiu. Na wspomnienie jej miotających iskry oczu, wojowniczo uniesionej brody i sztywno wyprostowanej sylwetki musiał się uśmiechnąć. Miała zresztą rację, karcąc go w ten sposób za lekceważącą uwagę o jej walącym się motelu.

Przeklął się za próbę zatrzymania jej u siebie na noc. Co za koszmarny, wręcz samobójczy pomysł? Będzie musiał to wszystko naprawić, lecz na razie nie miał pojęcia, w jaki sposób tego dokonać. Wiedział tylko, że nie chce jej stracić. Dobry Boże, przecież nawet jej nie miał, ale on jeden wiedział, jak ogromnie jej pragnął.

Po raz kolejny strzepnął poduszkę i zerknął na budzik przy łóżku. Kwadrans po drugiej. Jeśli teraz zadzwoni, pewnie ją obudzi. Chociaż kto wie, może ona też przewraca się bezsennie i rozmyśla o nim. Zaryzykuje.

Odebrała już po drugim dzwonku.

David zdecydował się pominąć zwyczajowe formułki i zamiast tego wypalił prosto z mostu:

- Zróbmy jutro coś naprawdę fajnego.

Ze słuchawki dobiegł lekko ochryply pomruk.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Pojedźmy gdzieś, dokądkolwiek. Pospacerujmy, trzymając się za ręce.

Jak nastolatki na pierwszej randce.

Roześmiała się dźwięcznie.

- Musisz wiedzieć, że na pierwszej randce skręciłam nogę w kostce.

- Nie martw się, będę cię niósł. - David uśmiechnął się w ciemności, wyobrażając sobie Libby w swoich ramionach. - Dokąd pójdziemy? Może do zoo?

- Już byłam.

- Do muzeum sztuki?

- Też już byłam - odparła z ciężkim westchnieniem.

- A może łuk?

- Widziałam.

Davidowi zabrakło pomysłów.

- Wybierz jakieś miejsce. Nie musi być w St. Louis.

Milczała przez chwilę, po czym zaproponowała z ożywieniem:

- Już wiem. Pojedźmy do Hannibal.

- Co takiego? - David podrapał się po głowie. - Masz na myśli Hannibal z *Tomka Sawyera*?

- Uhm. Dokładnie o to mi chodzi. Nie byłam tam od dzieciństwa, a to tylko półtorej godziny drogi stąd. Jeśli chcesz, mogę nawet poprowadzić.

- Zaczekaj, mam lepszy pomysł. Czy możesz być gotowa do wyjazdu o dziesiątej rano?

- Jasne. W najgorszym razie o wpół do jedenastej.

- Świetnie. Przyślę po ciebie. Słodkich snów, kochanie. Do zobaczenia jutro.

Rozłączył się i jak zadowolony mały chłopiec, który właśnie się napił ciepłego mleka i zjadł owsiane ciasteczko, natychmiast zasnął.

Po drugiej stronie autostrady Libby również zapadła w głęboki sen.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rankiem następnego dnia Libby przykleiła do drzwi motelu kartkę z napisem „Nieczynne z powodu remontu”. Nie przypuszczała, by nagle sznur aut zajechał na podjazd w poszukiwaniu noclegu, niemniej jednak załatwiwszy to, poczuła się lepiej. Doug na pewno powiadomi o tym ciocię.

Ekipa długowłosych malarzy z Markiza zjawiała się wczesnym rankiem. Dwa domki były już odmalowane na kremowo-zielono i wyglądały całkiem nieźle, choć opinia Libby była z pewnością stronnicza. Skończywszy je podziwiać, wezwała dekarzy. Nie było sensu odnawiać wnętrza, gdyby dachy miały przeciekać.

O czym jeszcze nie pomyślała? Co ważnego pominęła? Dotychczas wołała nie rozważać niczego więcej poza podstawową renowacją. W jej umyśle kłębiły się wizje kolonii termitów, pleśni i spróchniałego drewna, grożąc bólem głowy, który z pewnością nie był jej dziś potrzebny.

Zerknęła na zegarek i z przestrawieniem stwierdziła, że do wyjazdu zostało jej nie więcej niż pół godziny. W duchu przyznała, że powinna dopilnować wszystkiego na miejscu zamiast bawić się w miasteczku Hannibal w towarzystwie niezwykłego faceta.

Od kilku lat nie zainteresował jej żywiej żaden mężczyzna, a teraz, gdy miała tyle na głowie, zjawił się nagle David, który w dodatku sprawiał wrażenie, że i ona nie jest mu obojętna.

Wzięła prysznic, ubrała się i wyszła przed dom akurat w chwili, gdy pod drzwiami zajechała czarna hotelowa limuzyna. Młody kierowca Jeff, który wiózł ją wczoraj na kolację, zaprosił ją do środka.

- Jak się panu podoba praca w hotelu Markiz? - spytała, gdy już usiadł za kierownicą.

- To wspaniałe miejsce, bardzo je lubię - odparł przez ramię. - Zresztą sama pani widziała.

- Owszem - przyznała Libby. - To przepiękny budynek. Pan Halstrom wynajął świetnego architekta.

- Bez dwóch zdań. Japoński zespół to absolutna czołówka.

Libby zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, że David współpracuje z zagraniczną firmą. Nie wspomniał o tym, ona zaś założyła, że jest miejscowym architektem. Trochę to naiwne w epoce globalizacji.

Zaczęła rozmyślać, czy David mieszka na stałe w Japonii, a jeśli tak, to kiedy zamierza tam wrócić.

Potem jednak uznała, że na razie nie chce poznać odpowiedzi na to pytanie. Chciała się cieszyć perspektywą spędzenia cudownego dnia w słynnym z kart powieści miasteczku Hannibal, nie wspominając o nocy, która pewnie po tym dniu nastąpi.

Rozparła się wygodniej na miękkim skórzanym siedzeniu.

W najdzikszych snach nie przypuszczała, że na dachu hotelu będzie na nią czekał helikopter, którym polecą w górę rzeki Missisipi.

- Jeszcze nigdy nie leciałam helikopterem - przyznała nieco nerwowo.

Śmigła zaczęły się obracać z rykiem i świstem, więc musiał jej odkrzyknąć:

- Ja zaś nigdy nie byłem w Hannibal, Libby, więc uważam, że jesteśmy kwita. -

Usadowił się w fotelu i uściśnął mocno jej rękę. Po minucie wznoszenia wysoki budynek hotelu Markiz stał się ledwie błyszczącą plamką.

Po niespełna półgodzinie lotu byli już na miejscu. W położonym nad rzeką miasteczku wrzała wytężona praca. Mieszkańcy przygotowywali się do festiwalu Huckleberry Finna, lecz ze względu na dzień roboczy nie kręciło się zbyt wielu turystów. O pierwszej po południu David i Libby mieli już za sobą wizytę w rodzinnym domu Marka Twaina oraz obejrżeli pomalowany na biało płot Tomka Sawyera i muzeum, przez cały czas trzymając się za ręce jak para dzieciaków. Jak Tom i Becky, pomyślała skrycie Libby.

Na lunch zamówili hot dogi i frytki od ulicznego sprzedawcy, po czym poszli z nimi na brzeg rzeki i siedzieli tam przez godzinę, jedząc i gawędząc. Potężna Missisipi toczyła przed nimi swoje wody. Głównie mówiła Libby, David zaś zręcznie odbijał jej niezliczone pytania.

- Gdzie się urodziłeś? - spytała.

- W Teksasie - odparł. - A ty?

- Tutaj, w Missouri. - Opowiedziała mu o śmierci rodziców i dorastaniu w Haven View z ciotką Elizabeth i Dougiem. Była to całkiem zwyczajna, niezbyt ciekawa historia życia.

- Dlaczego chciałeś zostać architektem? - spytała znowu.

Wzruszył ramionami, wydał nieartykułowany pomruk i rzucił:

- Dlaczego postanowiłaś się zająć fotografią?

Wdała się w długą opowieść o pierwszym aparacie, pracy w miejscowej gazecie i tym podobnych sprawach.

Przez cały czas robiła zdjęcia - nabrzeża, rzeki, okolicy - ale nie była w stanie uchwycić w kadrze Davida. Facet miał niesamowitą zdolność pochylania się, odwracania i zasłaniania ręką akurat w chwili, gdy naciskała migawkę. Może to jakaś fobia, zastanawiała się, a przecież musi mieć jego zdjęcie, skoro on wyjedzie i nic innego jej po nim nie zostanie.

Na samą myśl zrobiło jej się słabo. Powiedziała, że musi pójść do miasta do toalety, i po drodze nałożyła na aparat teleobiektyw. Odwróciła się dyskretnie i zrobiła zupełnie niewiarygodne zdjęcia mężczyzny, który został na brzegu rzeki.

Późnym popołudniem zrobiło się zimno i Libby drżała z chłodu, gdy wysiadali z maszyny na dachu hotelu.

- Wiem, co cię rozgrzeje - rzekł David.

Przez telefon wydał polecenie, żeby gorąca kąpiel w jacuzzi była gotowa za pół godziny.

Potem poprowadził ją do przytulnego, dyskretnie oświetlonego baru na półpiętrze.

- Podaj nam dwie brandy, Tom. Najlepszy gatunek - zawołał do barmana, który po-
lerował kieliszki.

- Służę, panie...

- Dziękuję - przerwał mu David i zaprowadził Libby do stolika w rogu sali, na którym płonęła wysoka świeca.

Z rozkoszą zajęła miejsce na miękkiej skórzanej kanapce. David wsunął się za nią i objął ją ramieniem.

- Za chwilę będzie ci ciepło, kochanie, obiecuję.

I tak już się rozgrzała dzięki bliskości jego ciała. Brandy w wysokiej kryształowej szklance nie mogło się z nim równać. Upomniała się, żeby się czasem nie przyzwyczajając do mężczyzny, który już wkrótce będzie zapewne rozgrzewał inną kobietę na innym kontynencie.

- Wspaniale się dzisiaj bawiłam - powiedziała, unosząc szklankę w geście toastu. - Dziękuję memu nad wyraz uprzejmemu gospodarzowi.

Kryształ zadźwięczał melodyjnie, gdy stuknęli się szklankami.

- Zdrowie Toma, Becky i Hucka - odparł. - A także twoje, Libby. Nie sądzę, żebym się kiedykolwiek tak dobrze bawił. Nawet kiedy byłem dzieckiem. - Odstawił brandy i zmarszczył brwi, biorąc głęboki oddech.

Poczuła się zaalarmowana. Zmarszczone brwi i głębokie westchnienia najczęściej oznaczały kłopoty.

- Libby - zaczął miękko, patrząc jej prosto w oczy. - Jest coś, o czym powinienem...

Rozległ się przenikliwy dzwonek jego komórki. David zmełł w ustach przekleństwo i wyszarpnął ją z kieszeni spodni.

- Co jest? - warknął.

Słuchał przez minutę czy dwie, po czym przełączył na tryb oczekiwania.

- Muszę dokończyć tę cholerną rozmowę. Przepraszam cię, kochanie.

- Nie przejmuj się - odparła, obracając w palcach szklankę z bursztynowym płynem. - Naprawdę mi to nie przeszkadza.

Cmoknął ją w czoło, po czym wysunął się z boksu i wielkimi krokami odszedł na bok, żeby spokojnie porozmawiać. Sądząc z mowy jego wspaniałego ciała, przekazywał rozmówcy doprawdy fatalne wieści.

Libby cieszyła się, że to nie ona tkwi przy drugim telefonie.

David czuł, że jego nastrój gwałtownie się pogarsza. Przeżywał właśnie najpiękniejszy dzień życia, a tu wdarły się interesy w postaci grożącego mu procesu ze strony niezadowolonego gościa jednego z hoteli w Londynie, o czym jego histeryczny brytyjski adwokat postanowił go niezwłocznie poinformować. David wytłumaczył mu, że jeśli jeszcze raz do niego zadzwoni, pożegna się z lukratywną pracą.

Na domiar złego okazało się, że Libby nie ma co na siebie włożyć do jacuzzi. W łazienkowej komodzie powinien się znajdować odpowiedni strój dla gości, lecz niezidentyfikowany na razie - a wkrótce były - pracownik zostawił na jego miejscu papeterię i broszury reklamowe.

- Nie przejmuj się, Davidzie - pocieszyła go Libby. - Zostanę w staniku i majtkach, to żaden problem. Już mi się to zdarzało.

Wizja odzianej w skąpy i zapewne przezroczyisty jedwab Libby jakoś nie poprawiła mu nastroju. Za moment wezwie swojego asystenta Jeffa, psując mu kolację. Na razie jednak przewracał wściekle szafy i szuflady, nie mogąc sobie darować, że stracił okazję wyjawienia dziewczynie, kim w istocie jest. Dobrze wiedział, że jest to prawdziwa przyczyna jego obecnej furii.

W półmroku baru miał to wyznanie na końcu języka, gotów na kolanach błagać ją o przebaczenie drobnego kłamstwa. Tak bardzo jej pragnął. Zamierzał powiedzieć to teraz, zanim znajdą się w gorącej kąpieli. Po co przeciągać sprawę? Przecież nie miał jej wyznać, że jest seryjnym mordercą.

Wybaczy mu z pewnością, bo w przeciwnym razie...

Tuż za nim Libby delikatnie odchrząknęła i wyszeptała „ta-dam...”.

Odwrócił się i ujrzał precudowne zjawisko: Libby w skąpych majteczkach i śnieżnobiałym koronkowym staniczku. Była piękna w ubraniu, a teraz zabrakło mu słów, by wyrazić, jak ślicznie wygląda. Uśmiechnęła się i wskazała piniącą się w jacuzzi wodę.

- Proszę o zgodę na wejście na pokład, sir - rzuciła żartobliwie.

David zapomniał o wszelkich wyznaniach. Nie pora teraz na konfrontację. Być może był kłamcą, ale z pewnością nie głupcem.

- Udzielam zgody - odparł z udawaną powagą, szybko zrzucając koszulę i dzinsy, by do niej dołączyć.

Siedząc zanurzona aż po brodę w przyjemnie gorącej wodzie, czując szczupłe i mocne ciało Davida tuż obok siebie, Libby omal nie zapadła w błogi sen. Jakie to dziwne, pomyślała, że czuję się tak swobodnie w towarzystwie mężczyzny, którego znam ledwie od dwóch dni. Nie leżało to w jej naturze.

- Mogłabym tu zostać przez tydzień - rzekła z rozkosznym westchnieniem. - Albo przez miesiąc.

- Nie jestem pewien - odparł, parszkając śmiechem - czy chciałbym cię oglądać w postaci pomarszczonej śliwki. Wolę cię taką jak teraz.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Tak?

Nawet ona słyszała w swoim głosie tęsknotę. Nic nie mogła na to poradzić. Uwielbiała tego mężczyznę, pragnęła go każdą cząstką ciała. Jeśli ich zbliżenie miało być tylko krótkim romanssem, nim David wróci do Japonii, to trudno. *Sayonara* jej marzeniom o przyszłości. Libby postanowiła żyć wyłącznie terażniejszością. Niech przyszłość zajmie się sobą.

David wziął ją w ramiona; w ciepłej wodzie czuła się lżejsza niż piórko. Jego wargi były zmysłowe i miękkie, język zwinny i czuły. Wydawało się, że czas stanął w miejscu, że mogą się wzajemnie poznawać i kochać przez całą wieczność.

- Jesteś doskonała - wyszeptał. - Wiedziałem to od pierwszej chwili, gdy tylko cię zobaczyłem.

Ujął jej pełną kształtną pierś i czubkiem kciuka począł zataczać kręgi wokół sutka. Libby zadrżała i oparła głowę o krawędź jacuzzi, on zaś pokrywał jej szyję czułymi pocałunkami.

- Marzyłem o tym... - wymruczał z ustami na jej szyi. - Pragnąłem cię od chwili, gdy cię ujrzałem przyklejoną do tej głupiej latarni.

- Wyglądałam raczej idiotycznie. - Zachichotała, po czym dmuchnęła, by odsunąć z czoła kosmyk wilgotnych włosów.

- Wcale nie. - Przesunął dłoń z jej piersi na krągłe biodro. - Pragnąłem cię wtedy i pragnę teraz, Libby. Szaleję za tobą.

Woda zawirowała z szumem, plusnęła i zanim Libby się obejrzała, David porwał ją w ramiona i poniósł mrocznym korytarzem do sypialni, gdzie zaledwie wczoraj obserwowała świetlistą rzekę pojazdów na autostradzie. Położył ją ostrożnie na łóżku i na moment opuścił, aby wyjąć z szuflady kwadratowy pakiecik.

Po chwili znów trzymał ją w ramionach.

- Powiedz mi, jak mam ci sprawić przyjemność - poprosił, gładząc ją zmysłowo po całym ciele. Zadrżała z rozkoszy. - Zrobię wszystko, co zechcesz.

Libby przywarła do niego, jakby walczyła o życie.

- Cokolwiek robisz, jest dla mnie przyjemne - powiedziała, wodząc czubkiem palca wokół jego ust. - Ja też cię pragnę, ciebie całego.

Kochali się niespiesznie, zmysłowo, podczas gdy w dole płynęła niekończąca się rzeka świetlistych rubinów i diamentów. Z niewielkiego doświadczenia Libby wynikało, że mężczyźni szukają raczej własnej rozkoszy, nieszczególnie dbając o zadowolenie kobiety. David był jednak zupełnie inny. Każdy jego dotyk był powolny, spokojny, absolutnie boski. Sprawianie jej przyjemności było dla niego rozkoszą.

W końcu to Libby, gdy David wreszcie w nią wszedł, przyspieszyła tempo, uniósłszy biodra, by przyjąć go w siebie jak najpełniej. Już po chwili ich ciche pomruki złąły się w jeden wspólny jęk ekstazy.

Libby zalała fala rozkoszy tak nieziemskiej, że chciało jej się śmiać i płakać równocześnie. Po kilku sekundach David wydał ostatni gardłowy krzyk, zeszywniał cały, po czym opadł na nią, drżąc w niekontrolowany sposób.

Potem leżeli bez sił, przytuleni, syci siebie i zdyszani, czekając, by ich oddechy się wyrównały, o ile w ogóle było to możliwe.

Dochodziła dziewiąta trzydzieści, gdy wreszcie zdołali się podnieść z wielkiego łóżka po zachodniej stronie penthouse'u. Kiedy David usłyszał, jak Libby burczy z głodu w brzuchu, zwłókł się z pościeli i zadzwonił do obsługi hotelu. Szef kuchni opuścił już dawno stanowisko pracy, ale drugi kucharz, młody ambitny mężczyzna, z ochotą zgodził się przyrządzić swój „specjalny” omlet i smażone warzywa.

David spytał Libby, czy ma na to ochotę, na co jej oczy zaświeciły się jak u wilka, który wywachał jagnię w zagrodzie.

- Proszę przysłać jedzenie jak najszybciej - polecił David.

Posilili się w łóżku. Libby miała na sobie firmowy szlafrok, a jej splątane włosy i nabrzmiałe od pocałunków wargi przypomniały mu Wenus, która zjawiała się niespodziewanie na Środkowym Zachodzie.

- Powinam chyba wrócić do Haven View - bąknęła niezdecydowanie, pogryzając firmowe ciasteczko z migdałami.

- Myślałem, że powiesiłaś na drzwiach wiadomość o remoncie - zachnął się David.

- Owszem, ale...

- Ale?

Zaświtało jej nagle, że przecież nie ma żadnych innych obowiązków, a już na pewno w motelu, i może w pełni zająć się sobą. Musiało ją to zdziwić, bo zamrugła niepewnie i po raz pierwszy, odkąd się poznali, odebrało jej mowę.

Za to David wiedział, co chce powiedzieć.

- Zostań ze mną, Libby.

Odsunął srebrne tace, puste talerze i szklanki i znów wziął ją w ramiona.

- Zostań.

Nie protestowała.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy następnego ranka o dziewiątej wróciła do motelu, wciąż czuła na skórze pocałunki Davida. Wnętrze jej ciała wypełniał żar, który płonął i pieścił jej trzewia.

Lecz już o dziesiątej przygasł, głównie z powodu łez. Dekarz obejrzał uważnie dachy domków dla gości, po czym wręczył jej szacunkową wycenę na czterdzieści tysięcy dolarów plus podatek.

- Proszę pamiętać - dodał, kręcąc głową - że to tylko za pokrycie dachów. Trzeba jeszcze doliczyć wymianę rynien i odpływów, to jest niezbędne. Jeśli dojdzie do dalszych zaniedbań, w przyszłości koszty będą znacznie wyższe.

Po odjeździe dekarza Libby poszła do mieszkanka za biurem i skulona usiadła na podłodze w kabinie prysznic, pozwalając, by gorący strumień splukał jej łzy. Od dawna tak się nad sobą nie litowała. Ostatnim razem zdarzyło się to, gdy miała dziesięć lat i zginął jej kot Joey. I wtedy, i teraz czuła się kompletnie załamana.

Płakała tak długo, aż zabrakło jej łez, po czym wytarła się, ubrała i wyszła do recepcji, gdzie w ulubionym znoszonym swetrze siedział Doug, przeglądając pocztę. O ile dobrze pamiętała, miał go na sobie, gdy ją pocieszał po stracie Joeya.

- Cześć, skarbie - przywitał ją wesoło. - Dobrze się bawiłaś w Hannibal?

- Wspaniale. - Libby obeszła biurko, objęła go za szyję i głośno cmoknęła w łysinę.

- Tak bardzo cię kocham, Doug.

- Ja też cię kocham, maleńka - odrzekł, chichocząc. - Czym sobie zasłużyłem na tak miłe powitanie?

Przysiadła na wytartym kwiecistym dywanie.

- Tak szczerze mnie pocieszałeś, gdy mój mały Joey uciekł z domu.

Doug podrapał się po czaszce otwieraczem do listów.

- Hm, niech pomyślę... Joey to kot czy myszokoczek?

Jezu, kompletnie zapomniała o myszokoczku George'u, który dawno temu przepadł gdzieś w ogrodzie. Teraz naprawdę zrobiło jej się smutno.

- Kot. Czarny z białymi skarpetkami.

- Racja. - Doug pokiwał głową. - Pamiętam, że wtedy płakałaś.

Libby ciężko westchnęła. Gdy była mała, Doug często ją pocieszał w jej dziecięcych troskach. Był cierpliwy i dobry, a przy tym bardzo bystry. Może powinna się go teraz poradzić? Szkoda, że od razu tego nie zrobiła.

- Doug... - zaczęła z wahaniem. Może to jednak nie jest dobry pomysł. Doug opowie o wszystkim cioci, a wówczas rozpęta się piekło.

- Co cię dręczy, kochanie? - spytał Doug. - Wiem, że masz jakiś kłopot.

- Czy to aż tak widoczne?

- Dobrze cię znam, dzieciaku. Powiesz mi, o co chodzi?

Libby objęła się ramionami, czując się nagle jak mała dziewczynka. Zmusiła się do uśmiechu.

- Chciałabym, ale sama nie wiem, od czego zacząć.

Jednak udało się, a zaczęła od otrzymania czeku na sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Doug natychmiast podniósł rękę.

- Zaczekaj, jedną chwilę. Chcesz powiedzieć, że jakiś nieznajomy przysłał ci pięćdziesiąt patyków, bo spodobał mu się twój album ze zdjęciami starych moteli? To piękna książka, nie przeczę, ale przyznasz, że to całkiem sporo jak na podziękowanie.

- Najpierw pomyślałam, że to żart. Ale nie, mam na koncie pięćdziesiąt patoli, które mogę wydać.

Opowiedziała Dougowi o planach odremontowania motelu i przywrócenia mu dawnej świetności, zgodnie z marzeniem cioci Elizabeth.

Dotarłszy do kwestii ekipy malarzy, zawahała się, bo na razie nie zamierzała mu opowiadać o Davidzie i swoich uczuciach do niego. Po co, skoro kochanek za kilka tygodni najpewniej odjedzie w siną dal.

Zakończyła informacją o niebotycznie wysokim koszcie naprawy dachów i bezradnie chwyciła się rękami za głowę.

- Nie chcę rezygnować ze swoich planów, ale nie mam pojęcia, skąd wziąć na to pieniądze. Jeśli masz jakiś pomysł, nie wahaj się podrzucić mi go. Tylko błagam, nie mów mi, że zwariowałam.

Doug przymknął oczy i zacisnął usta, jakby nie miał ochoty się wypowiadać, co Libby nawet rozumiała. Jej czek, jej problem. I tak zdążyła już nieźle namieszać.

Potem zaklął pod nosem, co mu się rzadko zdarzało, i trzasnął pięścią w blat biurka.

- Do diabła, Libby, szkoda, że od razu do mnie nie przyszałaś. Wiem, że chciałaś nam zrobić niespodziankę, ale twoja ciocia i ja jesteśmy już za starzy.

Libby westchnęła. Doug miał całkowitą rację. Żałowała, że nie zawiadomiła starszych państwa o swoich planach.

- No więc już teraz wiesz. Mam pięćdziesiąt tysięcy i chciałabym z nich zrobić jak najlepszy użytek. Czy możesz mi w tym pomóc? A może to zwyczajnie idiotyczne i niemożliwe? Powiedz mi prawdę, Doug.

Starzec pogłaskał się po siwym zaroście.

- Myślę, że ciocia byłaby zachwycona, gdyby udało się odremontować jej ukochany motel. Było jej przykro patrzeć, jak popada w ruinę.

- No właśnie! - wykrzyknęła Libby. - Tak bym chciała, żeby była szczęśliwa.

- Nie wątpię, maleńka. - Doug pokiwał głową. - Pięćdziesiąt tysiaków to spora suma, ale nie wystarczy, nie przy dzisiejszych cenach materiałów i robocizny. To kropla w morzu potrzeb. - Miał smutną minę. - To się chyba nie uda, Libby. O ile nie jesteś czarodziejką albo twój tajemniczy wielbiciel nie dorzuci miliona lub dwóch.

Libby przygryzła wargę, usiłując powstrzymać łzy napływające jej do oczu.

- Chyba że... - Doug zawiesił głos i poprawił się w krześle.

- Chyba że co?

- Jak to mówią, jest wiele dróg, żeby dojść do celu.

Libby potaknęła, zastanawiając się gorączkowo, do czego Doug pije. W dodatku uśmiechał się szeroko jak jakiś kot z Cheshire.

- Co masz na myśli? - ponagliła niecierpliwie.

- Pamiętasz, jak kiedyś pomagałem ojcu O'Fallonowi w organizacji przytułku dla bezdomnych?

Pamiętała. Doug pomagał energicznemu młodemu księdzu zbierać fundusze na rozwój organizacji charytatywnej. Było to wiele lat temu, ale przytułek o poetyckiej nazwie Bramy Niebios nadal wspaniale działał, dostarczając potrzebującym noclegu, strawy i przede wszystkim nadziei.

- Do czego zmierzasz, Doug?

- Często jeżdżę do miasta i widuję się z księdzem O'Fallonem.

- Ale co to ma wspólnego z motelem? - spytała zdumiona.

- Bramy Niebios prowadzą od kilku miesięcy nowy program. Szkolą swoich podopiecznych do pracy w przydatnych zawodach: malarzy, hydraulików, stolarzy...

Libby zaczynała rozumieć, jaki pomysł przyszedł Dougowi do głowy.

- Dokładnie takie prace mamy tu do wykonania - szepnęła.

- No właśnie - przytaknął Doug. - My chcemy przeprowadzić remont, a ojciec O'Fallon z pewnością potrzebuje pięćdziesięciu tysięcy. Co o tym myślisz, skarbie?

Libby zerwała się na równe nogi.

- Jezu, Doug, jesteś prawdziwym geniuszem! To natchniona myśl. Czy możemy od razu pogadać z księdzem?

- Chyba tak, Libby. W końcu zamknęliśmy motel z powodu remontu, no nie? Pozwól mi tylko uprzedzić ojczulka i jedziemy!

W penthousie naprzeciw motelu David wstawał właśnie z łóżka. Był kwadrans po jedenastej. Wcześniej rano wyprawił Libby ze swoim asystentem Jeffem, który po powrocie natychmiast udał się do szefa.

- Nie miałem czasu przejrzeć wszystkich dokumentów motelu - powiedział David, tłumiąc ziewnięcie. - Czy jest coś nowego, czy też może to spokojnie kilka godzin poczekać?

- Nie ma pośpiechu - odparł Jeff. - Proszę wybaczyć, że to mówię, ale przydałoby się panu jeszcze trochę snu.

David zazwyczaj utrzymywał stosowny dystans wobec pracowników, tym razem jednak roześmiał się wesoło.

- Robię się na to za stary - powiedział.

- Może już czas się ustatkować, szefie. Albo przynajmniej o tym pomyśleć.

Jeff rzadko pozwalał sobie na osobiste komentarze. Jeszcze kilka dni temu taka uwaga zostałaby potraktowana marsową miną i ostrą reprimendą. Dziś jednak David czuł się zbyt szczęśliwy, więc tylko się uśmiechnął i odrzekł:

- Może masz rację, chłopie. Może masz rację. Dodatkowy odpoczynek bardzo mu się przydał.

Zwykła posepność gdzieś się ulotniła, czuł się jak mały chłopiec w świąteczny poranek, radosny i zadowolony. Szczerze mówiąc, czuł się lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

- Libby, Libby - mruknął, patrząc w lustro podczas golenia. - Co ty, do diabła, ze mną robisz?

Wziął prysznic i ubrał się, po czym wpisał do kontaktów w komórce jej numer, który mu zostawiła przed wyjściem. Nie pamiętał, czy był to telefon komórkowy, czy też do recepcji motelu. Zadzwoił, ale nikt nie odebrał, co napełniło go smutkiem. Upomniał się surowo, że smutni czują się tylko frajerzy.

Następnie zatelefonował do biura. Z pewnością znajdzie tam kogoś, na kogo będzie mógł nawrzeszczyć, aby się pozbyć z organizmu niemiłego uczucia smutku.

Gdy Libby i Doug znaleźli się w centrum miasta, dziewczyna poprosiła, by przystanęli na chwilę w redakcji gazety, chciała bowiem zostawić film do wywołania. Większość redakcji przeszła na system cyfrowy, ale gazeta w St. Louis, być może z nostalgii bądź zwykłego lenistwa, nadal utrzymywała zarośniętą pajęczynami i ciasną ciemnię.

Nie chcąc tracić czasu, starała się unikać znajomych, a było ich wielu, i pospiesznie wbiegła na trzecie piętro, gdzie na stanowisku trwała jej bliska znajoma Hannah Corson. Jak zwykle wyglądała na zapracowaną. Libby wyjęła z torebki kilka pudełek z filmami.

- Wywołasz je dla mnie?

- Jasne. - Włożyła je do pojemnika, gdzie czekało już kilka pudełek. - Co słyhać w Zmęczonym Podróżniku?

Libby wybuchła śmiechem. Jej koleżanki wymyślały niezliczone nazwy dla motelu. Kilka odważnych spędziło nawet noc w jednym z domków dla gości, rzekomo to sobie chwalać, ale Libby zauważyła, że żadna nie pojawiła się po raz drugi.

- Wszystko dobrze - odrzekła zgodnie z prawdą.

- Może zjemy razem lunch?

- Chciałabym, ale Doug czeka na mnie na dole.

- Okej, w takim razie zadzwonię, kiedy filmy będą gotowe. Pewnie pojutrze.
- Dzięki, Hannah. Jestem ci winna przysługę.
- Tak, tak, jak wszyscy - mruknęła kobieta. - Powinnam zmienić nazwisko na Kodak.

Doug czekał na nią niecierpliwie.

- Pospiesz się, już jesteśmy spóźnieni.

Wskoczyła do auta i szybko zapięła pasy. Doug zawsze prowadził z fantazją, a od-
kąd skończył siedemdziesiąt pięć lat, uznał chyba, że przepisy ruchu nie odnoszą się do
niego. Jak zwykle ruszył z kopyta.

Jechali na północ. Libby rzadko bywała w tej okolicy. Nic dziwnego, skoro znaj-
dowały się tam głównie rozwalające się budynki i puste, zaśmiecone parcele.

Uderzyło ją nagle, że te półdzikie miejskie tereny odznaczają się swoistym suro-
wym pięknem. Za rogiem ukazał się spalony kościół, który wręcz domagał się sfotogra-
fowania. Libby odnotowała to sobie i przyrzekła, że zajmie się tym po remoncie.

Doug skręcił na wysypany żwirem parking i zahamował gwałtownie.

- Jesteśmy na miejscu, maleńka. Chodźmy. Nie chcemy, żeby ojciec James czekał
na nas przez całe popołudnie.

Wysiadając, przypomniała sobie, że nie sprawdziła wiadomości w komórce. Miała
dwanaście nieodebranych telefonów, wszystkie od Davida. Nie wiedziała, czy ma się
czuć zaszczycona, czy zaalarmowana. Nieważne, najpierw spotkanie z księdzem. Los
motelu leżał jej na sercu i nic nie mogło jej przeszkodzić w jego ratowaniu.

Nawet David.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Spotkanie z ojcem Jamesem okazało się owocne. Propozycja wydała mu się nad wyraz interesująca, pozostawało omówienie szczegółów. Libby i Doug wypowiedzieli się o wszystkim z entuzjazmem, a pokaźna suma niechybnie przemówiła księdzu do wyobraźni.

- W przyszłym tygodniu na zebraniu zarządu fundacji przedstawię waszą propozycję. Spodziewam się, że im się spodoba - rzekł ksiądz.

Libby starała się nie pokazać po sobie rozczarowania z powodu zwłoki.

- Nie dałoby się tego zrobić wcześniej? Ksiądz obdarzył ją cierpliwym anielskim uśmiechem, jakiego pewnie używał setki razy dziennie.

- Obawiam się, że nie.

- To i tak niedługo - wtrącił Doug. - Pamiętajcie poza tym, że musimy przedstawić nasz plan Elizabeth, a ona nie wiadomo, jak go przyjmie. Potrafi być bardzo uparta.

Libby przewróciła oczami.

- Ja sam bywam uparty - zauważył ojciec James. - Co ma być, to będzie. Zobaczymy.

W drodze do domu Libby rozmyślała nad tym, że cierpliwość nie jest jej najmocniejszą stroną. Trudno jej się było pogodzić z czekaniem. Ciekawe też, kto przedstawi plan cioci...

Sprawdziła jeszcze raz komórkę. Dwa nowe telefony, również od Davida. Libby uśmiechnęła się mimo woli. Uparty ten jej przystojny architekt.

- Czy to twój nowy adorator? - spytał Doug.

Potaknęła.

- Chciałbym go wreszcie poznać.

- Wszystko w swoim czasie - odparła ze śmiechem Libby - jak powiedziałby nasz dobry ojczulek James.

Okazało się, że Libby nie musi oddzwaniać do Davida, czekał on bowiem na nią na podjeździe motelu, oparty biodrem o swojego jaguara.

Serce Libby natychmiast przyspieszyło rytm. Jak to możliwe, że David wydawał jej się coraz bardziej przystojny? Jak tak dalej pójdzie, za tydzień na jego widok dostanie chyba zawału. Miała jedynie nadzieję, że ona sama wywołuje w jego twardej piersi podobną reakcję serca.

Ledwie zgasła silnik, a już David pospieszył otworzyć przed nią drzwi.

- Hej - zawołała, wysiadając niemal w jego ramiona. - Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

- Ach, więc widziałaś moje telefony.

- No tak, omal mi nie stopiły komórki.

- Tęskniłem za tobą - wyznał cicho.

Jej serce zamieniło się w ciepły budyń.

- Cieszę się - odparła miękko. - Ja także za tobą tęskniłam. Chciałabym, żebyś poznał pewną szczególną dla mnie osobę.

Doug wygramolił się już z auta i szedł ku nim, uśmiechając się znowu jak kot z Cheshire.

- Doug, to jest David - przedstawiła Libby. - Doug to najlepszy ojciec na świecie.

Podali sobie ręce i Doug natychmiast zauważył:

- Dużo o tobie słyszałem, młody człowieku. Ponoć zaprojektowałeś ten wspaniały budynek po drugiej stronie szosy.

David spuścił głowę i milczał. Dopiero po chwili odparł:

- Tak, proszę pana.

- Moje gratulacje. Znakomita robota - pochwalił Doug.

- Dziękuję panu.

- Zostawię was teraz, mam pocztę do przejrzenia. - Doug cmoknął Libby w czoło i poszedł.

- Miły staruszek - rzekł cicho David.

- Owszem.

- Naprawdę mi ciebie dzisiaj brakowało - mówiąc to, musnął ją z czułością po policzku.

Jego mina świadczyła o szczerości tych słów.

- To dobrze, bardzo się cieszę.

- Chodź ze mną do hotelu - poprosił, biorąc ją w ramiona. - Zrelaksujemy się w jacuzzi, a potem zobaczymy, co dziś przygotowała dla nas kuchnia. Libby westchnęła ciężko.

- Brzmi bosko, ale...

- Ale co? - spytał z niepokojem.

- Nie chciałabym zostawiać Douga samego na cały wieczór.

- Jest chory czy co?

- Ach, nie, nic z tych rzeczy, jest zdrowy jak koń. Po prostu pracujemy nad pewnym pomysłem i mamy mnóstwo do omówienia.

- Co to za pomysł?

- Wyobraź sobie...

Doug wyszedł z za rogu motelu, podrzucając w dłoni kluczyki.

- Pojadę teraz do Elizabeth, Libby. Opowiem jej o wszystkim i zjem z nią kolację. Jeśli mnie już nie potrzebujesz, wrócę prosto do domu.

- Ucałuj ją ode mnie - poprosiła Libby. - I daj mi znać, jak to przyjęła, dobrze? Jak najszybciej.

- Jasne. - Odrobinę sztywno wsunął się za kierownicę starego pontiaca. - Miło było cię poznać, Davidzie - rzucił, zapalając silnik.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, proszę pana - odparł David z uśmiechem, po czym zerknął na Libby. - Mam wrażenie, że masz dziś jednak wolny wieczór, kochanie.

Roześmiała się perliście, po czym wzięła go za rękę i poprowadziła wokół budynku recepcji na środek żwirowanego podjazdu. Teren robił wrażenie opuszczonego. I słusznie, pomyślał David. Libby wykonała szeroki gest ramieniem.

- Wybierz sobie domek, mój drogi. Którykolwiek - powiedziała. - Albo numer między jeden a sześć.

- Słucham?

- Wybierz domek, Davidzie. Mamy cały motel dla siebie. - Posłała mu promienny uśmiech. - Ja wybrałabym numer trzy, bo to moja szczęśliwa liczba, nie mówiąc już o tym, że prysznic nadal tam działa.

Serce Davida pompowało krew w dolne partie ciała, zatem jego mózg pracował na zwolnionych obrotach. Czy dobrze zrozumiał? Chciała się kochać tutaj, w tej norze, zamiast w jedwabnej pościeli nowiutkiego hotelu? Czyżby oszalała?

Z jego punktu widzenia jeszcze trudniejsza była odpowiedź na pytanie, czy ciężąca mu tajemnica pozwoli na miłosne wyczyny. W końcu czynił świadome wysiłki, żeby pozyskać ten zrujnowany motel i ostatecznie go zburzyć.

Wczesnym popołudniem, po przejrzaniu wszystkich dokumentów, wysłał do ciotki Libby Jeffa w przebraniu agenta nieruchomości, który zaoferował starszej pani dowolną sumę za sprzedaż Haven View. „Proszę wymienić swoją cenę”, oznajmił, zanim wezwana pielęgniarka wyprosiła go z pokoju.

Skoro plan A nieszczególnie wypalił, David przeszedł do planu B. Jeff przygotował pismo do rady miasta z prośbą o uznanie terenu, na którym stał motel, za zaniedbany, a w konsekwencji wydanie zgody na natychmiastowe wyburzenie znajdujących się na nim budynków.

W piśmie podkreślono gotowość Halstroma do rewitalizacji i rozwoju wspomnianego obszaru w terminie późniejszym. Jeff pewnie je właśnie wysłał.

David wydał przeciągłe westchnienie. Był świadom, że interesy jego i Libby są sprzeczne, teraz jednak odczuł niemal fizycznie swoją zdradę. Na myśl o reakcji Libby natychmiast opuściło go podniecenie. Dziewczyna go znienawidzi, a co gorsza, będzie miała rację.

- Przepraszam, muszę zadzwonić - bąknął, wybierając numer Jeffa.

- Lepiej się pośpiesz - odparła z uśmiechem - bo inaczej to ja wybiorę domek.

Nie potrafił odpowiedzieć na jej uśmiech. Gdy Jeff w końcu odebrał, polecił mu zwięźle zaprzestać pracy nad projektem. Obiecał, że odezwie się później.

- Projekt? - spytała ciekawie Libby. - Pracujesz nad kolejnym hotelem, Davidzie?

- W pewnym sensie - mruknął, z trudem przywołując uśmiech na twarz. - Choć w tej chwili mam pilniejsze zajęcie.

- Jakie? - W jej niebieskich oczach zamigotały wesołe iskierki.

- Takie.

Porwał ją w objęcia i poprosił:

- Pokaż mi drogę do szczęśliwego numeru trzy.

Libby ociągała się w łazience, żeby opóźnić spojrzenie Davidowi w oczy. Czyniła sobie gorzkie wyrzuty, że w ogóle wpadła na tak koszmarny pomysł. Jak mogła zaprosić mężczyznę, który podejmował ją wykwinną kolacją z winem we wspaniale zaprojektowanej przestrzeni, do tej obskurnej nory rodem z horroru?

Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem niczym w filmach z Borisem Karloffem, po czym uderzył ich w nozdrza okropny zapach wilgotnego sosnowego drewna zmieszany z odorem lizolu. David na próżno starał się stłumić napad kaszlu. Libby kichała raz po raz, nim w panice nie wpadła do łazienki.

Jarzeniowa lampa nad umywalką bzyczała nieprzyjemnie, spłuczka toalety szumiała i gulgotała, choć nieużywana plastikowa zasłonka w prysznicu, w obowiązkowe rozgwiazdy i muszle, zwisała tak smętnie z porzewiałego pręta, że Libby musiała przymknąć oczy.

Przez moment pomyślała, że zburzenie tej ruiny jest jedynym rozsądnym wyjściem. Nawet ciocia musi to zrozumieć.

Wiedziała jednak, że to się nie uda. Ciocia będzie się upierała tak samo jak wtedy, gdy twierdziła, że wujek Joe wróci do domu. Nikt nie był w stanie jej przekonać, że to niemożliwe.

Woda spływała powoli. Libby ze złością chwyciła ręcznik, cienki i wypłowiały po wielu latach używania, i wytarła się nim do sucha. Przeczesała wilgotne włosy i owinięta ręcznikiem wyszła do pokoju.

David siedział na skraju podwójnego łóżka i przerzucał kanały w małym telewizorze.

- Witaj w latach siedemdziesiątych - rzuciła półzartem Libby. - Czy czujesz się jak w pętli czasu? Jakbyś się przeniósł o kilkadziesiąt lat w przeszłość?

- Nie - odparł i zgasił telewizor. - Czuję się jak księżę czekający na swojego Kopciuszka.

- Posłuchaj - rzekła Libby, owijając się ciaśniej ręcznikiem - przykro mi, że nalegałam, żebyśmy tu przyszli. Jestem gotowa wyjść stąd w każdej chwili, gdybyś wolał...

Podszedł do niej zdecydowanym krokiem.

- Wolę się z tobą kochać, maleńka - szepnął namiętnie. - Tu i teraz.

Oblizwała wargi w oczekiwaniu na pierwszy pocałunek. Marzyła o nim.

- Tak - mruknęła. - Tutaj. Natychmiast.

Nieważne, gdzie się znajdowała, pocałunki Davida bowiem sprawiały, że zapomniała, kim jest. Opuściła ręce, wilgotny ręcznik opadł na wytarty dywan.

David się cofnął. Nie dotykając jej, pożerał ją oczami, które pociemniały, stając się ciemnozielone. Jego płonący wzrok omiatał ją całą. Nigdy dotąd tak bardzo nie pragnęła mężczyzny. Nie miała pojęcia, że tak silna żądza jest w ogóle możliwa.

David kochał się z nią powoli i uważnie, jak gdyby była jego pierwszą kobietą. Dzięki niemu odkrywała nieznane sobie dotychczas doznania.

Gdy jego zręczne ręce i ciepły ruchliwy język doprowadziły ją na skraj rozkosznej otchłani, pociągnęła go tam za sobą i razem opadli w wirze kolorowych rozbłysków i migotliwych spadających gwiazd.

Potem Libby zapadła w drzemkę z myślą, że nie chce, by David ją opuścił. Jeśli to zrobi, była gotowa udać się za nim choćby na koniec świata.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Libby zaproponowała, że przygotuje kolację, mając na myśli podgrzanie w mikrofalce dwóch opakowań makaronu z serem. David uprzejmie odmówił i przedstawił jej swoją propozycję.

- Chodźmy lepiej naprzeciwko.

- Już myślałam, że nigdy na to nie wpadniesz - odrzekła Libby, śmiejąc się wesoło.

Tym razem nie zabrał jej do penthouse'u, lecz prosto do lśniącej nowością, nowoczesnej kuchni hotelu, gdzie drugi kucharz wciąż jeszcze dyżurował wraz z kilkoma pomocnikami.

Młody mężczyzna na ich widok poderwał się z krzesła.

- Dzień dobry - powiedział z południowym akcentem okraszonym szerokim uśmiechem.

David przywitał się z nim i oznajmił, że oboje umierają z głodu.

- To świetnie - ucieszył się kucharz. - Chętnie przygotuję wszystko, na co będą państwo mieli ochotę. W kuchni trzeba gotować, a nie przesiadywać.

David pociągnął Libby za sobą do wnętrza pomieszczenia. Było to dla niej ciekawe doświadczenie, nigdy dotąd nie widziała bowiem profesjonalnej kuchni.

- Nie znam się zbyt dobrze na gotowaniu - wyznała, podziwiając wielką lodówkę ze stali nierdzewnej. Gdy David ją otworzył, nie rozpoznała połowy produktów.

- Domyśliłem się - odparł David, chichocząc.

- Ciocia Elizabeth też niechętnie gotuje.

- Może to dziedziczne. Na co masz ochotę? Czy coś z tego wpadło ci w oko?

Surowe produkty nie wyglądały zbyt zachęcająco.

- Sam dokonaj wyboru, Davidzie - poprosiła.

- Jako wielbicielka zwykłych hamburgerów chętnie zdam się na ciebie.

David porozmawiał z kucharzem, z czego Libby niewiele zrozumiała.

- Będziemy w barze - rzekł na koniec. - Proszę podać nam tam jedzenie.

Libby zauważyła, że David wyjął z kieszeni banknot, złożył go dyskretnie i położył na stole przed młodym kucharzem.

- Ależ nie trzeba, panie...
- Proszę wziąć - przerwał mu stanowczo David.
- Nalegam.
- Dziękuję panu.

Przechodząc, zerknęła na pieniądze. Sto dolarów. Największy napiwek, jaki kiedykolwiek wręczyła, wyniósł dwadzieścia. Dostawca pizzy omal nie zemdleł. A gdyby dała mu stówkę?

Gdy weszli do przyćmionego baru, David zamówił wino.

- Dwa kieliszki merlota, rocznik dwa tysiące czwarty.
- Służę panu.

Libby wsunęła się do boks, w którym siedzieli poprzednio. Zaczynała się czuć stanowczo zbyt dobrze w towarzystwie tego mężczyzny. Z każdym innym po prostu cieszyłaby się chwilą, lecz na nim zależało jej tak bardzo, że chcąc nie chcąc, zaczynała myśleć o przyszłości, co czyniło ją szalenie bezbronną.

Usiadł tuż przy niej, dotykając jej umięśnionym udem.

- Za dwa tygodnie nie będzie tu już tak cicho i spokojnie. Trudno będzie o miejsce.
- To dobrze, prawda?
- Dla hotelu tak - odparł. - Ja jednak lubię mieć przestrzeń tylko dla siebie. Dla nas
- poprawił się. - A ty?
- Ja też. Oczywiście zawsze mamy domek numer trzy - dodała żartem.
- Wolałbym nie.

Barman zaprezentował butelkę wina, a gdy David skinął z aprobatą, otworzył ją umiejętnie i nalał mu odrobinę do kieliszka. David spróbował, skinął głową, a wówczas barman napełnił obydwie kieliszki.

Ledwie zdążyli skosztować, gdy kucharz postawił przed nimi półmisek sałaty udekorowanej owocami dużych fioletowych winogron i cząstkami pomarańczy. Dołożył dwa widelce, lniane wykrochmalone serwetki i koszyczek ostro przyprawionych grzanek.

Libby upiła łyk wina, po czym odstawiła kieliszek i westchnęła.

- Czy wiesz, co mnie najbardziej zdumiewa w tym hotelu?
- Nie. Powiedz mi.

- Każdy, kto tu pracuje, wydaje się niebotycznie szczęśliwy. To po prostu nie jest normalne. O ile wiem, personel hotelowy zazwyczaj jest przemęczony i to się odbija na relacjach z gośćmi.

- Hotel nie jest jeszcze otwarty, więc trudno mówić o przemęczeniu. Poza tym w hotelach Halstroma ludzie są opłacani powyżej średniej.

- W Haven View pracujemy za darmo - odparła ze smutkiem.

Dziobnęła widelcem sałatę, a w tej samej chwili do baru weszły dwie kobiety. Wyglądały oszłamiająco, jakby zeszły prosto z kart magazynu mody. Postawna blondynka była obwieszona złotymi bransoletkami, a wąziutkie nogawki dżinsów tkwiły w cholewkach wysokich skórzanych butów. Brunetka miała na sobie długą zamszową spódnicę, cudownie piękną futrzaną kurtkę i sandały z wycięciem na chyba piętnastocentymetrowym obcasie.

Libby nie mogła od nich oderwać wzroku. Kątem oka zauważyła, że barman gestem każe im wyjść. Klnąc pod nosem, David chwycił komórkę.

- Zejdź natychmiast do baru - warknął.

- Co się dzieje? - wyszeptała Libby.

David obrzucił przeszklone drzwi baru morderczym spojrzeniem.

- Dziwki - odparł krótko.

- Och...

Zerknęła na dwie piękne kobiety, po czym zwróciła wzrok na Davida.

- Skąd wiesz? - szepnęła, jakby się bała, że nieznajome usłyszą. Jak dotąd widywała takie osoby tylko w telewizji i w kinie.

Nim zdążył odpowiedzieć, do baru wszedł kucharz, balansując tacę na ramieniu. Na widok obu piękności zachwiał się, a porcelana i sztucce zadźwięczały srebrzyście.

- Hotel Markiz chyba jest już na szlaku - szepnęła, stawiając potrawy przed Libby i Davidem. - Co można na to poradzić?

W odpowiedzi David zaklął gardłowo.

- Życzę państwu smacznego - rzekł kucharz, rzucając ostatnie tęskne spojrzenie na kobiety.

Libby przyjrzała się swojemu talerzowi. Nie wiedziała, co na nim jest, choć było to z pewnością dzieło sztuki. Już miała spytać, co David zamówił, gdy drzwi windy rozsunęły się z lekkim szmerem i wymaszerował z niej Jeff, kierując się natychmiast w stronę obu kobiet.

Uśmiechnął się szeroko i objął ją ramionami, pozornie bez wysiłku, popchnął do wyjścia. Po chwili już ich nie było.

- To był mój kierowca - bąknęła Libby ze zdumieniem. - Jeff.

- Widocznie dorabia jako wykidajło. Nieźle mu idzie - odparł już nieco spokojniej David. - Skosztuj swojego strzępiela. Jest wyborny.

Libby zrobiła, jak kazał, i faktycznie ryba okazała się wyśmienita. Darowała sobie jednak brukselkę, mimo że wyglądała kusząco.

Nad poobiednim kieliszkiem brandy wyjawiała mu swój absolutnie wspaniały plan ocalenia motelu. David słuchał z kamienną twarzą, choć w jego głowie trwała gonitwa to panicznych, to morderczych myśli.

Zamierzała - to jakiś koszmar! - sprowadzić bandę bezdomnych i więźniów, którzy będą pracowali naprzeciw jego hotelu. Równie dobrze mogła wynająć skazańców w pasiakach do sprzątnięcia frontonu Markiza. Gdyby jej nie znał, mógłby pomyśleć, że celowo próbuje wykończyć Halstrom Corporation, przynajmniej w mieście St. Louis.

- Świetny pomysł, prawda? - Jej twarz promieniała. - Wszyscy będą zadowoleni.

Poza mną, pomyślał cierpko David. Straty pójną w miliony, nie mówiąc o reputacji firmy.

- Czy konsultowałaś to z prawnikiem albo z kimś z rady miasta? - spytał z pozornym spokojem.

Potrząsnęła głową.

- Trochę na to za wcześnie. Zarząd fundacji ojca Jamesa ma się spotkać dopiero w przyszłym tygodniu.

- Z mojego doświadczenia wynika, że zarządy lubią się dokładnie przyjrzeć każdej decyzji, zanim ją w ogóle podejmą, nawet jeśli sprawa nie ma wielkiego znaczenia.

Libby upiła łyk pachnącego trunku.

- Oczywiście jest jeszcze ciocia Elizabeth, która może powiedzieć „nie”. Doug miał z nią porozmawiać, ale nie wiem, jaki jest rezultat, bo się nie odezwał. Może się przestraszył.

- Musisz powiększyć do maksimum pokrycie sumy ubezpieczenia, zważywszy na ludzi, jakich masz zamiar wpuścić na swój teren. Na początek potrzebujesz kilku milionów.

- Nawet o tym nie pomyślałam.

David właśnie na to liczył. Im szybciej zdoła przeszkodzić w realizacji jej koszmarnego planu, tym bardziej będzie zadowolony.

- Nie ma pośpiechu - rzekł ze spokojem. - Po co zawracać sobie głowę szczegółami, skoro jeszcze nic nie wiadomo.

I niech tak zostanie, dodał w duchu.

Gdy wyszli z baru, objął ją ramieniem i na moment ukrył twarz w jej włosach.

- Do mnie czy do ciebie? - szepnął.

Libby westchnęła. David przeszkadzał jej się skupić na sprawach dotyczących remontu motelu. Patrzył na nią z uśmiechem wyczekiwania.

- Chodźmy do mnie - odparła miękko. - Nie gwarantuję ci dzikiego seksu, ale mogę cię poczęstować kubkiem gorącej czekolady i obiecuję, że nie będę chrapała.

- Zgoda - roześmiał się. - W podziękę za czekoladę zrobię ci taki masaż pleców, jakiego nigdy nie doświadczyłaś.

- Mmm... - wymruczała. - Za coś takiego mogłabym się w tobie zakochać.

- Doskonale.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Libby wstała wcześniej rano i włożyła szlafrok - nie ten wytarty flanelowy, lecz porządniejszy bawełniany - w którym udała się do biura, gdzie całkowicie ubrany David rozmawiał przez telefon.

- Zamawiam śniadanie z Markiza - wyjaśnił. - Właśnie rozmawiam z kuchnią. Masz ochotę na coś szczególnego?

Przywykła wybierać między kaszką błyskawiczną a płatkami z zimnym mlekiem. Poczowała się jak w raj.

- Cokolwiek? - upewniła się ostrożnie. Może to tylko sen?

- Może poza jajecznicą ze strusich jaj lub stekiem ze świeżego rekina. Powiedz, co ci sprawi przyjemność, skarbie.

- Nie licząc ciebie.

- Mnie możesz mieć w każdej chwili - odparł.

- Jestem piekielnie głodna - oznajmiła Libby. - Może zjadłabym... mały omlet ze startymi ziemniakami z cebulką i grzanek z żytniego chleba? Nie, zaczekaj. Wolę grzanek z mąki z pełnego przemiału z dżemem truskawkowym.

Przekazał zamówienie i dodał:

- Bekon czy parówki?

- Bekon. - Ślinka napłynęła jej do ust. Miała nadzieję, że nie skapuje na podłogę.

- Sok z pomarańczy czy ananasa?

- Ananas - odrzekła, zastanawiając się, czy zdoła się odzwyczaić od Davida i jego ciągłego rozpieszczania. Pewnie nie, uznała smętnie.

Podeszła, chcąc go cmoknąć w czubek głowy. Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w fałdach jej szlafroka.

- Muszę jeszcze podzwonić w kilka miejsc - wyszeptał - ale potem jestem twój. Zrobimy wszystko, co tylko zechcesz.

- Dobry pomysł. Wezmę prysznic, zanim dostarczą śniadanie.

Pod strumieniem gorącej wody Libby zastanawiała się, czy naprawdę zaledwie wczoraj łkała tu przez godzinę, bo jej świat rozpadał się na kawałki? Potem zaś wszystko

odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, a rozpacz zmieniła się w szczęście i nadzieję. Życie to karuzela.

Kto wie, co się jeszcze wydarzy?

Na przykład to, że David został wezwany do Nowego Jorku. Jedząc śniadanie, rozmawiał przez telefon, rzucając jej pełne irytacji spojrzenia i mamrocząc przeprosiny. Klął też głośno do słuchawki.

Szczerze mówiąc, nie miała mu za złe. Cieszyła ją możliwość skupienia się na najpyszniejszym omlecie, jaki kiedykolwiek jadła. Był równie boski, jak wykwinny deser. Żuła ostatni kawałek bekonu, gdy David z trzaskiem odsunął stare krzesło i wstał.

- Za trzy kwadranse muszę lecieć do Nowego Jorku - mruknął.

- Ojej - jęknęła z rozczarowaniem. - Tak nagle?

- Nic na to nie poradzę. Przepraszam cię, kochanie. Wrócę późno w nocy albo jutro rano. - Zmierzał już do drzwi, gdy Libby skoczyła za nim, żeby go pocałować na pożegnanie.

- Wrócę jak najszybciej - obiecał.

- Będę na ciebie czekała.

Zawarczał silnik jaguara, zazgrzytał żwir na podjeździe i już go nie było.

To jasne, że architekt nie może wykonywać pracy przez telefon. Pomyślała, że dobrze byłoby wypożyczyć kilka książek o tej dziedzinie, by móc w miarę inteligentnie konwersować z Davidem.

Zadzwoiła do Douga, żeby się dowiedzieć, jak wypadła rozmowa z cicią.

- Nie wspomniałem o tym - przyznał. - Przy kolacji było tak miło, że nie chciałem popsuć nastroju.

- Domyśliłam się tego - odparła.

- Po co ten pośpiech, skarbie? Zebranie zarządu dopiero za tydzień, zresztą wątpię, czy od razu podejmą decyzję. Będą chcieli sobie to przemyśleć. Może nawet przyjadą obejrzeć motel.

- Masz cały worek wymówek, Doug, ty tchórze! - zawołała ze śmiechem.

- Przyznaję.

- Ale masz rację, nie ma pośpiechu. Po co denerwować ciocię, jeśli nie wiemy, na czym stoimy.

Libby skończyła rozmowę i wyjrzała przez okno. Akurat nadjechali malarze. Chciała im powiedzieć, żeby wzięli sobie wolne, skoro i tak zamierzała wynająć inną ekipę, ale zrezygnowała z tego. Jeżeli David na to nalegał...

Z braku innych zajęć umyła naczynia po śniadaniu, wytarła ściereczką i schowała do pudła, żeby je później zwrócić w hotelu. Może szef kuchni będzie wypróbował nową potrawę na lunch, a ona znajdzie się tam w porę, żeby jej spróbować.

Może lepiej nie, nie zamierzała przecież utyc. Jak Davidowi udawało się zachować szczupłą sylwetkę? Ciekawe, ile waży pan D.E. Halstrom, który pewnie jada w swoich licznych hotelach. Niewątpliwie musi być strasznym grubasem.

Pod nieobecność obsługi hotelu zostawiła pudło z naczyniami przy kontuarze recepcji. Nie chciało jej się tłumaczyć, jak właściwie trafiły w jej posiadanie.

Następnie udała się do biblioteki hrabstwa, w której nie była od czasów szkoły średniej. Z upodobaniem przechadzała się między półkami, wdychając ładny zapach drewna i papieru. Zewsząd dochodził szelest przewracanych stronic.

W ciągu kilku godzin dowiedziała się o architekturze więcej niż przez trzydzieści lat życia. Piramidy egipskie, Louis Sullivan, Frank Lloyd Wright, I.M. Pei i wielu innych...

Temat ją zafascynował, znalazła masę pomysłów na kolejne albumy fotograficzne i jeszcze bardziej doceniła wysmakowaną fasadę hotelu Markiz. Już nie mogła się doczekać, kiedy David wróci z Nowego Jorku, żeby z nim o tym porozmawiać.

Dziwiło ją, że tak niechętnie mówił o swojej profesji. Z nią było zupełnie inaczej. Najprostsze pytanie o fotografię czy aparaty prowokowało ją do dłuższych rozważań.

Z Davidem zaś odwrotnie. Jak się dobrze zastanović, niewiele jej o sobie powiedział. Poza tym, że pochodzi z Teksasu, co i tak zdradzał jego akcent, nie wiedziała nic ani o nim, ani o jego rodzinie.

Zatrzasnęła grubą księgę o dwudziestowiecznej architekturze Środkowego Zachodu, myśląc, że jak na tak krótką znajomość ogromnie za nim tęskni.

Wyszła do samochodu. Był piękny jesienny dzień. Nie zamknęła na razie drzwi, popołudniowe słońce grzało jej wystawione na zewnątrz nogi. Wybrała numer ciemni i czekała, aż odezwie się Hannah.

Zdziwiła się na dźwięk głosu nieznanego mężczyzny.

- Czy jest tam Hannah? - spytała.

- Nie, przykro mi. Już dzisiaj nie wróci do pracy. Może ja mógłbym w czymś pomóc?

- Chyba tak... Miała dla mnie wywołać kilka filmów. Chciałam się dowiedzieć, czy może już się za nie zabrała.

- Niech zajrzę do jej tajnego schowka - odrzekł z konspiracyjnym śmiechem. - Widzę dwa pojemniki z filmami Fuji 400. Czy to pani?

- Owszem, moje - powiedziała, wzdychając. - Dzięki za pomoc, zadzwonię do niej jutro.

Miała nadzieję, że zdjęcia będą gotowe, ona zaś po ich odebraniu spędzi miłe chwile, oglądając Davida na brzegu rzeki Missisipi w Hannibal.

Nic z tego.

Wróciła więc do Haven View, przebrała się w wytarty flanelowy szlafrok i podgrzała makaron z serem. Smakował tak ohydnie, jak się spodziewała. Sałata, którą polala zwierzałym dressingiem, była niewiele lepsza.

Ledwie kilka dni wystarczyło, żeby całkiem zmieniła upodobania. Nie wróżyło to dobrze na przyszłość.

Gdy następnym razem wybiorę się do biblioteki, pomyślała, powinnam przejrzeć kilka książek kucharskich, żeby móc choćby w minimalnym stopniu konkurować z wykwintną kuchnią hotelu po przeciwnej stronie autostrady.

O jedenastej wieczorem Libby obudził dzwonek poobijanego czarnego telefonu, który stał na kontuarze recepcji motelu. Chwiejnym krokiem opuściła sypialnię, żeby odebrać. Na dźwięk głosu Davida poczuła olbrzymią radość.

- Tęsknię za tobą - powiedział. - Miałem nadzieję, że wrócę jeszcze dzisiaj, ale to niemożliwe.

- Ja także - odrzekła. - Co słyhać w Wielkim Jabłku?

- Bez ciebie jest tu pusto. Szkoda, że cię tu nie ma.

Uśmiechnęła się na te słowa.

- Och, ja też chciałabym tam być z tobą. Masz szczęście, że wyjechałeś, bo na kolację zjadłam wreszcie makaron z serem. Smakował paskudnie.

- Zadzwoń do hotelowej kuchni i zamów sobie, co zechcesz, skarbie. Uprzedzę kucharza o twoim telefonie. Zamawiaj, co i kiedy tylko chcesz.

W pierwszej chwili chciała mu odmówić, żeby się nie przyzwyczajać do zbyt dużych luksusów, gdy David już zniknie z jej życia, lecz po namyśle się zgodziła.

- Dzięki, Davidzie. Choć przyznam, że wolałabym teraz ciebie niż pięciogwiazdkowy posiłek.

- Wracam jutro - zapewnił. - Najpewniej późnym popołudniem. Zjemy obiad, a potem będę się z tobą kochał tak namiętnie, jakby świat miał przestać istnieć.

Przeszedł ją dreszcz.

- To groźba czy obietnica?

- Jedno i drugie. Zadzwonię po powrocie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego ranka Libby pospała nieco dłużej, czego zazwyczaj nie robiła. Była sobota, więc malarze nie przyszedli do pracy, a ruch na autostradzie był ograniczony.

Pomyślała, czyby nie zadzwonić do Markiza i nie zamówić śniadania. Na wspomnienie pachnącego omletu ślinka napłynęła jej do ust. Może mieli kanadyjski bekon? Och, i kulki świeżego melona. Z trudem się powstrzymała. Nie chciała wykorzystywać hojności Davida, gdy nie korzystał z tych dobrodziejstw wraz z nią. Wiedziała, że gdy mu o tym powie, uzna jej skrupuły za głupie, ale po prostu tak czuła. Gdyby byli razem, zamówiłaby podwójną porcję wszystkiego.

W zamian wybrała się do cukierni i kupiła pudełko pączków dla siebie i ciotki Elizabeth.

Zrzedliwej pacjentki z pokoju ciotki na szczęście nie było, podobnie zresztą jak i jej samej. Libby przysiadła na brzegu łóżka i pochłonęła dwa pączki. Zastanawiała się właśnie nad trzecim, gdy stara kobieta wróciła do pokoju, objając wózek w drodze do łóżka.

- Może pani pomóc? - ofiarowała się Libby, gdy staruszka chciała się położyć.

- Nie trzeba, ale dziękuję za ofertę - odparła chora. - Ciotka jest u fryzjera. Nie wróci wcześniej niż za godzinę. Ładnie wyglądają te pączki.

- Proszę się poczęstować - zaproponowała Libby, podchodząc z pudełkiem. - Są pyszne.

- Dziękuję, chętnie. - Staruszka zgarnęła trzy naraz, zostawiwszy jeden dla ciotki. Libby schowała pudełko do szafki przy łóżku i zostawiła kartkę, że wpadnie jutro. Ze świeżymi pączkami.

Nie spiesząc się zbytnio, wróciła do motelu akurat w chwili, gdy zadzwonił telefon. Rzuciła się odebrać w nadziei, że to David. Na dźwięk głosu Douga stłumiła rozczarowanie.

- Cześć, maleńka, jak się masz? - spytał.

- W porządku.

- Załatwiłem ci sesję, jeśli jesteś zainteresowana.

W ten sposób Doug dyskretnie pomagał jej finansowo. Jeśli znał kogoś, kto wydał przyjęcie czy ślub, przekonywał go, że trzeba uwiecznić uroczystość. Libby najczęściej się na to zgadzała, raczej dla uszczęśliwienia Douga niż dla tych kilku zmiętych dwudziestek, które wciskano jej na koniec w rękę.

- Spodoba ci się to - oznajmił. - Jutro będzie mała impreza w szpitalu, gdzie leży Elizabeth, i chcą mieć fotografa.

- I tak planowałam ją jutro odwiedzić, więc wezmę aparat. O której to się zaczyna?

- W południe, ale jak sądzę, cała impreza rozkręci się dopiero około wpół do pierwszej.

- Zatem do zobaczenia. A może chcesz, żebym po ciebie przyjechała?

- Nie, ja pojedę wcześniej pomóc przy dekoracjach. Skarbie, a może przyprowadzisz ze sobą tego młodego architekta? Im więcej gości, tym weselej.

- Wyjechał do Nowego Jorku, ale jutro wraca. Zapytam go, Doug.

Libby rozłączyła się i pomyślała, że nie jest pewna, czy chce wprowadzić Davida do swojego geriatrycznego świata. Z drugiej strony ciekawiła ją jego rodzina. Czy rodzice jeszcze żyją? Czy ma rodzeństwo, bratanków i siostrzenice? Czy kiedy był mały, miał psa, ukochanego przyjaciela? Może ma byłą żonę? Dzieci? I czemu nigdy o tym nie mówi?

Może jeszcze na to za wcześnie, tłumaczyła sobie bez przekonania.

Coraz bardziej pragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Przeglądała pocztę, gdy usłyszała zgrzytanie kół na podjeździe. Silnik pracował inaczej niż jaguar Davida. Może wziął taksówkę z lotniska, pomyślała, zrywając się z krzesła. Przed motelem stał biały sedan, z którego gramolił się nieznany jej mężczyzna.

- Mogę w czymś pomóc? - zawołała. - Motel jest zamknięty. - Wskazała tekturowy szyld na drzwiach.

- Przykro mi, że pani przeszkadzam. - Z kieszeni wiatrówki wyjął wizytówkę i podał jej. - John Tazwell, przeprowadzam inspekcje dla rady miasta.

- Zamierza pan dokonać inspekcji motelu?

- Chciałbym się po prostu rozejrzeć - odparł. - Ponoć wpłynęły skargi w związku z tym terenem.

- Czyje skargi? - spytała ostrym tonem.

- Tego mi nie mówią - odrzekł, wzruszając ramionami. - Polecono mi rozejrzeć się po terenie, więc oto jestem.

Rozmawiając z nią, nie przestawał się rozglądać, a z jego miny wynikało, że nie jest szczególnie uradowany tym, co widzi. Było jej przykro, że anonimowa osoba złożyła skargę w urzędzie, zamiast zwrócić się bezpośrednio do niej, Douga czy cioci. Było to zwyczajnie nieuprzejme.

- Trochę stare to wszystko - zauważył oględnie inspektor.

- Owszem, wręcz zrujnowane - potaknęła ze śmiechem. - Ale wzięliśmy się za to i niedługo motel będzie jak nowy.

- Nowe pokrycie dachów?

- Tak.

Wskazał zepsutą latarnię.

- Planuje pani się tym zająć?

- Oczywiście, mam to na liście. - Gdyby David jej wtedy nie przestraszył, nie byłoby problemu. Może to on powinien za to zapłacić?

- Potrzebna jest zgoda na nowe dachy. - Zatoczył łuk ramieniem. - Radni przegłosowali to kilka miesięcy temu i większość mieszkańców jeszcze o tym nie wie.

- Zgoda? - powtórzyła niepewnie Libby.

- Tak, to zwykła formalność, ale trzeba to zrobić przed rozpoczęciem prac, inaczej będzie kara. Czy będą zmiany w hydraulice? Nowe prysznice, wanny, umywalki?

Strzelał w nią pytaniami, na które odpowiadała „tak”, „nie” lub „ojej”.

- Proszę tego wszystkiego dopilnować - zakończył. - Zawsze lubiłem ten stary motel. W latach sześćdziesiątych nocowali tu moi dziadkowie. Bawiłem się na tej huśtawce.

- Zmrużył oczy i dodał: - To chyba ta sama. Proszę sobie tylko wyobrazić. Wymieni ją pani, co? Nie chce pani przecież, żeby jakieś dziecko uległo wypadkowi.

Udręczona Libby skinęła w milczeniu.

- Przyjadę znowu za dwa, trzy tygodnie, proszę pani. Do widzenia.

O Boże, pomyślała po raz setny Libby.

Godzinę później jechała do miasta, żeby odebrać od Hannah wywołane zdjęcia. Nie miała pojęcia, jak powie cioci o tych wszystkich kłopotach z motelem.

Gdy mijiała galerię handlową, przyszło jej na myśl, że powinna kupić sobie trochę nowych ubrań. Nowy mężczyzna - nowe ciuchy. Czy nie ma czasem takiej zasady? Jeśli nie, to należałoby ją wprowadzić.

Po kilku spędzonych razem dniach i nocach David widział już właściwie całą jej garderobę. Niewiele wychodziła, więc suknia wieczorowa koloru brzoskwini oraz rozmaite kombinacje dżinsów, T-shirtów i sweterków wyczerpywały sprawę. Powinna się skuć na seksowną bieliznę. Czarne koronki. Nie, chwileczkę. Czerwone! Postanowiła załatwić zakup w drodze do domu.

Zaparkowała i wbiegła po schodach do królestwa Hannah.

- Masz szczęście, że zdążyłaś - zauważyła kwaśno koleżanka. - Jeszcze pięć minut i miałam zamykać interes.

- Przepraszam - wydyszała Libby, klnąc w duchu, że nie skorzystała z windy. Musi jak najszybciej wrócić do formy.

- Nie ma za co, nie jestem z nikim umówiona. Zamierzałam zrobić sobie popcorn i po raz tysięczny obejrzeć *Przeminęło z wiatrem*. Dołącz do mnie, jak chcesz.

Zrobiłaby to chętnie, ale za kilka godzin miał wrócić David.

- Może następnym razem. Ja widziałam ten film tylko pięćset razy. Muszę to koniecznie nadrobić.

- Tu masz swoje zdjęcia. Nie chcę być wścibska, ale trudno było nie zauważyć, że pojechałaś do Hannibal. Nie byłam tam od podstawówki. Fajnie było?

- Genialnie - przyznała Libby, ruszając do regału po zdjęcia. - Cudownie się bawiliśmy.

- Z kim pojechałaś? Znam go?

- Och, jeden taki przyjaciel. Chyba go nie znasz, nie pochodzi z tych stron.

Na błyszczących zdjęciach widać było dom Tomka Sawyera, jego biały płot i wiele innych ujęć. Przejrzała je niecierpliwie. Szukała przede wszystkim zdjęć Davida.

Zaczęła przeglądać kolejną porcję odbitek, gdy Hannah zauważyła:

- Trudno sobie wyobrazić Halstroma w takim miejscu jak Hannibal, co?

Ręka Libby zawisła w powietrzu.

- Słucham? - Musiała się przesygnąć. - Co powiedziałaś?

- Halstrom. No wiesz, ma hotel naprzeciw twojego motelu. Tego lustrzanego potwora. - Z miny Hannah wynikało, że Libby wyraźnie brakuje inteligencji.

- Wiem o hotelu. Nie wiem natomiast, o czym mówisz. Co to ma wspólnego z wizytą w Hannibal?

Wspólnym mianownikiem dla niej był oczywiście architekt David, ale to niemożliwe, żeby Hannah o tym wiedziała. Nie interesowała się przecież architekturą, lecz fotografią i starymi filmami.

Koleżanka wyjęła jedno ze zdjęć.

- Proszę. - Pokazała jej mężczyznę na brzegu rzeki.

Libby przyjrzała się uważnie. Ujęcie było świetne, udało jej się uchwycić tak często otaczającą go aurę władczości.

- Chodzi o niego - dodała Hannah, stukając paznokciem w postać Davida.

- No widzę - odparła z irytacją Libby. - Przecież to ja zrobiłam to zdjęcie.

- No więc, co ten facet robił w Hannibal?

Co za głupie pytanie, pomyślała z politowaniem Libby.

- Zwiedzał! Co innego można tam robić?

- Ha, ha! - prychnęła Hannah. - D.E. Halstrom zwiedzał Hannibal w stanie Missouri? Dlaczego? Znudziły go piramidy, Tadź Mahal i wieża Eiffla?

- Coś ci się pomyliło - bąknęła Libby.

- Komuś na pewno, ale chyba nie mnie. To właściciel hotelu naprzeciw terenu twojej cioci. Jego majątek jest wart miliardy.

- Ma na imię David.

- Wiem. David Edward Halstrom.

Libby straciła poczucie rzeczywistości. Huczało jej w głowie, zachwiała się niebezpiecznie.

- Hej, dobrze się czujesz? - spytała z troską Hannah. - Może wody? Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

- To David Halstrom? - wyjąkała Libby i drżącą ręką dotknęła fotografii.

- No przecież mówię ci to przez cały czas! - Hannah klepnęła się dłonią w czoło.
Libby bez słowa zebrała zdjęcia i wsadziła je byle jak do torby. Wzięła głęboki oddech i w miarę opanowana podziękowała koleżance za pomoc.

- Muszę pędzić - skłamała. - Doug czeka na mnie w motelu.

- Wyjdę z tobą, tylko zgaszę światła - powiedziała Hannah.

Nie czekając na nią, Libby zbiegła ze schodów, jakby ją gonił sam diabeł.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

David po raz dwudziesty w ciągu kilku minut spojrzął na zegarek. Robiło się coraz później, a Libby nadal nie było w domu.

W drodze powrotnej niezliczoną ilość razy dzwonił do Haven View, lecz odpowiadał mu nieco nadąsany głos dziewczyny, proponujący pozostawienie wiadomości. Czuł się wówczas jak porzucony, co było doprawdy dziwne; nie czuł się tak nawet wtedy, gdy umarł mu ojciec.

Nie rozumiał, dlaczego jego emocje, które zawsze miał pod kontrolą, stały się nagle tak rozdygotane. Większość spotkań w Nowym Jorku przebiegła źle i nieproduktywnie, ponieważ on, jako szef, nie potrafił się dostatecznie skoncentrować.

- Zatem ta posesja jest do kupienia, Davidzie, i to za korzystną cenę, o ile szybko poczynimy odpowiednie kroki. Pośpiech ma tu kluczowe znaczenie. Co o tym myślisz?

- Jaka posesja?

Wiceprezes stłumił poirytowane westchnienie.

- Budynek przy Upper East Side. Masz go przed sobą na ekranie - wycedził.

David zamrugnął powiekami i spojrzął na wielki obraz dwudziestopiętrowego wieżowca, w który wpatrywał się niewidzącym wzrokiem od Bóg wie jak długiego czasu. O czym właściwie myślał? Nie potrafił odpowiedzieć.

- To zależy. Na ile szacujesz koszty renowacji?

Cisza w pomieszczeniu stała się niemal namacalna. David zrozumiał, że liczby zostały drobiazgowo przedyskutowane już wcześniej, gdy on krążył myślami po swoim własnym kosmosie.

Co za idiota z niego!

Wstał gwałtownie i oznajmił, że ma straszny ból głowy. Dalsze decyzje będą musiały poczekać na sprzyjający moment. Dostojnie jak król opuścił salę, chociaż czuł się raczej jak błazen.

Czy tak czuli się i działali zakochani? Omal się nie roześmiał - a cóż to za pytanie w ustach trzydziestopięcioletniego mężczyzny? Miał sporo doświadczeń z kobietami, ale stan zakochania był mu całkowicie obcy. Czy to właśnie czuł do Libby Jost?

Nie był tym jakoś specjalnie uszczęśliwiony, jego temperament bowiem nie pasował do tego rodzaju emocjonalnych wzlotów i upadków, nie wspominając już o wymiernych stratach w biznesie. Z pewnością stracili posesję na Upper East Side, tylko dlatego że on, jak zakochany głupiec, nie potrafił się skupić podczas narady. Wyglądało na to, że uczuciowe mrzonki mogą go wkrótce wpędzić w prawdziwe kłopoty.

Z drugiej strony, pomyślał, czy mam jakiś wybór?

Nie umiał na to odpowiedzieć, pragnął bowiem wyłącznie Libby. Dzisiaj. Jutro. Zawsze. Westchnął głęboko. Czuł się jak ryba z haczykiem w trzewiach. Ściśle biorąc, w sercu.

Zgrzytanie żwiru powiedziało mu, że ktoś wjechał na podjazd. Ujrzał samochód Libby. Nagły ostry ból szarpnął mu wnętrzności.

Atak furii sprawia, jak odkryła Libby, że człowiek jeździ ze znacznie większą prędkością niż zwykle. Furia w połączeniu z przekonaniem, że została niecnie wykorzystana, wywindowały jej limit tak wysoko, że nie zdziwiło jej, gdy w tylnym lusterku ujrzała migotanie policyjnego koguta na radiowozie, który doganiał ją na pasie autostrady.

Zjechała na bok, odsunęła szybę i bez słowa podała policjantowi prawo jazdy. Bała się, że jeśli otworzy usta, za słowa, jakie wykrzyczy, na pięć lat zapakują ją do więzienia.

Przyjęła w milczeniu mandat i nieco spokojniej ruszyła do domu. Po chwili żałowała już swojego opanowania. Parę latek w więzieniu nie było w obecnej sytuacji przykrą perspektywą. Koniec problemów z motelem. Możliwość poznania nowych ciekawych ludzi. Utrata kilku zbędnych kilogramów na marnej więziennej diecie. A gdyby jeszcze miała dostęp do sprzętu fotograficznego, mogłaby liczyć na intrygujące zdjęcia.

Najważniejsze, że nie musiałyby już nigdy więcej oglądać Davida „architekta” Halstroma.

Gdy rozpoznała go w ciemni, zrobiło jej się słabo. Dobrze, że Hannah tego nie zauważyła.

Jak mógł jej to zrobić i dlaczego? Nie umiała znaleźć wytłumaczenia. Czemu człowiek bajecznie bogaty miałby udawać zwykłego pracownika najemnego? Równie dobrze mógł się przedstawić jako recepcjonista albo inspektor BHP. To przecież bez sensu.

Okłamał ją, co gorsza, w najbardziej intymnej chwili. Tego nie mogła mu wybaczyć.

Jak śmiał? Każda myśl kończyła się tym gorzkim pytaniem. Zadawała je sobie, skręcając na podjazd przed motelem. Serce podskoczyło jej w piersi i przełknęła głośno ślinę.

Jak śmiał tu stać, oparty niedbale o maskę jaguara? Zapra gnęła nadepnąć na gaz i w ułamku sekundy przyszpilić drania do jego smukłej bryki. Że skończyłoby się to więzieniem? Proszę bardzo, cała przyjemność po jej stronie.

Mamrocząc pod nosem, zaparkowała na tyłach budynku, zamierzając wyskoczyć z samochodu i wpaść tylnymi drzwiami do biura, po czym natychmiast je zamknąć, nie narażając się na spotkanie z oślizgłym gadem, który czaił się od frontu.

Zabrakło jej szczęścia.

Zanim się obejrzała, już stał przy minivanie.

- Już myślałem, że nigdy nie wrócisz - powiedział. - Przyjechałem tu prosto z lotniska.

Jego spokój zdziwił Libby. Facet żył w kłamstwie, a zarazem zachowywał się niewinnie jak niemowlę i - co musiała niestety zauważyć - wyglądał jak model z okładki kolorowego czasopisma. Ciekawe, ile innych kobiet zdążył już oszukać.

To jednak dość dziwne udawać biedniejszego, niż się jest. A może to wariat? Oczy Libby rozszerzyły się ze strachu, na co David chwycił ją za rękę.

- Przez cały czas myślałem wyłącznie o tobie, maleńka, nie mogłem się na niczym skupić - wyznał gorączkowo.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Miotana sprzecznymi uczuciami Libby odpychała go ręką, jednocześnie podając mu spragnione usta.

- Libby, och, Libby - wyszeptał, przywierając ciepłymi wargami do jej ust.

Na długą, jakże przyjemną chwilę zatraciła się w tym pocałunku. Czuła rozkoszny dreszcz w całym ciele, w jej żyłach rozgorzał płomień. Serce tłukło jej się w piersi niczym dziki ptak uwięziony w klatce. David trzymał ją tak mocno, że nie musiała nawet stać o własnych siłach. Była całkowicie pogodzona ze światem, pragnąc jedynie cofnąć wskazówki zegara o kilka dni, a choćby i godzin.

Potem naga prawda uderzyła w nią ze zdwojoną siłą.

- Przestań - wycedziła, uwalniając się z jego uścisku. - Puść mnie.

David patrzył na nią oszołomiony.

- Powiedziałam: puść mnie. - Z całej siły odepchnęła go od siebie.

- Libby, co się stało? - spytał.

- Puść mnie!

Rozluźnił ramiona, Libby cofnęła się i wzięła głęboki oddech.

- Będę wdzięczna, jeżeli opuścisz mój teren.

Wybałuszył na nią oczy, jakby przemówiła w suahili lub martwym języku starożytnym. Postanowiła wrzasnąć w nadziei, że to pomoże mu wyjść ze stuporu.

- Idź sobie stąd! Zostaw mnie w spokoju!

Teraz David się cofnął, jakby chciał jej się dobrze przyjrzeć.

- Nic nie rozumiem. Dlaczego tak się złościysz?

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać. - Bo rozplaczę się jak małe bezradne dziecko, dodała w duchu. Przyciskając torebkę do piersi, ruszyła do drzwi. - Proszę, po prostu odejdz.

- Libby...

- Żegnaj.

- Libby. Kochana...

Odwróciła się gwałtownie na pięcie.

- Nie nazywaj mnie tak, Halstrom - warknęła. - Zniknij mi raz na zawsze z oczu, dobrze?

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i dwukrotnie przekręciła klucz w zamku.

David zamknął drzwi jaguara z takim hukiem, że echo poniosło się po podziemnym parkingu hotelu Markiz z siłą grzmotu. Windą wjechał do lobby, po czym przesiadł się do luksusowej windy ekspresowej, która miała go zawieźć do penthouse'u. Był rad, że nikogo nie spotkał, mogłoby się to bowiem skończyć morderstwem z zimną krwią.

Przypatrywał się sobie w lustrze, ledwie rozpoznając swoją zmienioną gniewem i bólem twarz. Nigdy dotąd nie czuł się tak sponiewierany. Jednego był pewien, nigdy więcej nie chce się tak czuć.

Znalazłszy się w przytulnym wnętrzu, nalał sobie porządnego drinka i zaniósł go pod okno od południa, które wychodziło na zniszczony motel. W głębi ducha żałował, że w ogóle go zauważył, że wielkie okno penthouse'u zostało zaprojektowane od tej strony zamiast od północy, i przyrzekał sobie już nigdy tam nie spojrzeć.

Wiedział, że to nieprawda. Jakby na potwierdzenie, jego serce przyspieszyło rytm. Fakty mówiły same za siebie - w rekordowym czasie zakochał się po uszy w Libby Jost. Uniósł szklanekę w geście toastu.

- Twoje zdrowie, kochana Libby. Skoro wiesz, kim naprawdę jestem, co zamierzasz z tym zrobić?

Nie miał pojęcia, jak się o tym dowiedziała, lecz przecież tak musiało się stać. Byłby głupcem, gdyby sądził, że prawda wcześniej czy później nie wyjdzie na jaw.

Nie mógł mieć Libby za złe, że zareagowała gniewem. Lecz nie było to chyba największe kłamstwo świata? A gdyby naprawdę był architektem i podawał się za Davida Halstroma? Wtedy miałyby jeszcze więcej powodów do złości.

Dopił drinka, znów napełnił szklanekę i usiadł na skórzanej sofie, zastanawiając się co dalej. Po raz pierwszy w życiu nie mógł niczego wymyślić.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Libby, było uwiecznianie uroczystości w domu opieki cioci Elizabeth. Wolałaby w zamian tuzin przyjęć urodzinowych dla nieznośnych trzylatków, z udziałem klaunów amatorów, z okropną muzyką i tłumem roszczeniowych mamusi. Albo długi spacer po krótkim moło...

W nocy nie zmrużyła oka, rzucając się niespokojnie w pościeli. Wstała, napiła się ciepłego mleka, ale nic to nie dało. O czwartej rano zerwała się z łóżka, włożyła rozciągnięte dresy i buty do biegania i ruszyła z nadzieją, że zdoła się uspokoić. Na próżno.

Przysiadła na krawężniku i skryła głowę w dłoniach, zamierzając się porządnie wypłakać. Już po chwili zatrzymał się przy niej wóz patrolowy.

- To ty, Libby? - krzyknął przez okno oficer McKenzie.

- Tak, Tom - odparła, podnosząc głowę. - Nic mi nie jest, naprawdę - dodała, bo nie wydawał się przekonany.

- Jesteś pewna?

Nie była, ale postanowiła tego nie ujawniać.

- Tak, po prostu odpoczywam. Od dawna nie biegałam, zupełnie straciłam formę. Dzięki za troskę.

- No dobra... - mruknął z ociąganiem i wreszcie odjechał.

Wraz ze znikającymi w oddali tylnymi światłami radiowozu rozwiało się w Libby pragnienie łez.

Najgorsze, że nie potrafiła sprecyzować, dlaczego kłamstwo Davida aż tak ją rozłościło i zraniło. Chyba poczuła się jak idiotka, że poszła do łóżka z jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w kraju, nie mając o tym pojęcia.

Ciekawe, czy postępował tak również z innymi. Udawał kogoś innego i naśmiewał się skrycie ze swych ofiar. Przyszło jej na myśl, że może pragnął w ten sposób uniknąć kobiet chciwych jego majątku. To wyjaśnienie miało sens, lecz Libby nie była na razie gotowa tego przyznać.

Wzięła prysznic i ubrała się na przyjęcie. Ponieważ szła tam niejako służbowo, uznała, że sprane dzinsy i ciemnoniebieski golf będą w sam raz. Zamiast ulubionego nikon-a wzięła cyfrówkę, żeby od razu wysłać zdjęcia personelowi.

Gdy kilka minut po trzynastej przybyła na miejsce, przyjęcie było już w toku. Libby natychmiast poczuła, że znalazła się w reporterskim rajku.

Główna sala była udekorowana wydrążonymi dyniami, duchami z prześcieradeł i strachami na wróble z łachmanów. Z sufitu zwieszały się kolorowe serpentyny. Długi stół z przekąskami zdobiły jesienne liście, kolby kukurydzy i różnokolorowe dekoracyjne dynie.

W rogu sali trójka starych muzyków grała przeboje taneczne z lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku.

Naprzeciw zespołu siedziała rozplotkowana grupka kobiet z robótkami na kolanach. Opodal grano w loteryjkę. Libby udało się zrobić zdjęcie zachwyconej staruszce, która wykrzyknęła: „Bingo!”.

Pochłonięta fotografowaniem Libby nie spostrzegła, że ktoś do niej podszedł. Wzdrygnęła się dopiero, gdy David chwycił ją za ramię.

- Ciocia Elizabeth nie może się już doczekać, kiedy zrobisz jej zdjęcie.

Na widok jego kuszącego uśmiechu Libby zabrakło tchu. Przez chwilę nie rozumiała, co się dzieje.

- Co ty tu robisz? - udało jej się w końcu wykrztusić.

- Napilem się naparu ziołowego i uciałem sobie miłą pogawędkę z twoją ciocią - wyjaśnił. - Opowiadała mi o wujku Joe.

Żołądek Libby skurczył się boleśnie. Znowu.

- On nie żyje - rzekła bezbarwnym tonem. - Od sześćdziesięciu lat.

- Domyśliłem się tego, Libby.

- Tak? - Zamrugła nerwowo.

- Twój przyjaciel Doug mi o tym powiedział, gdy go przeproszałem za wprowadzenie w błąd odnośnie do mojej tożsamości.

- Ach tak... - bąknęła.

Wszystko toczyło się stanowczo zbyt szybko. Libby poczuła się nagle wyrzucona poza nawias swojej małej rodziny, podczas gdy David Halstrom, oślizgły kłamca, znajdował się w środku.

- Nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic - mówił dalej David. - Przyszedłem tu porozmawiać z twoją ciocią o odkupieniu od niej motelu.

- Nie możesz - warknęła, zanim zdążyła pomyśleć. - Mamy pewne plany, przynajmniej ja. Motel nie jest na sprzedaż.

- Haven View nie należy do ciebie - odparł ze spokojem. - Kochasz to miejsce, ale wszelkie decyzje może podjąć wyłącznie ciocia Elizabeth.

Libby wiedziała, że nie ma argumentów. Było dokładnie tak, jak powiedział David. Motel nie był nawet zadłużony, gdyż w czasach świetności całkiem dobrze prosperował.

- Wiem - rzuciła krótko, rozglądając się dookoła. - Gdzie jest ciocia? Nie widziałam na razie ani jej, ani Douga, a chciałabym zrobić im kilka zdjęć.

- Tam. - Ruchem podbródka pokazał odległy kąt sali. - Przysłała mnie tu w określonym celu, Przysiągłem na wszystkie świętości, że wyciągnę cię na parkiet i zatańczymy.

Libby parsknęła wzgardliwym śmiechem.

- Nigdy w życiu. Ledwie wypowiedziała te słowa, staruszkowie zaczęli grać *Serenadę księżycową* Glenna Millera, jeden z jej ulubionych utworów. Słuchała go z upodobaniem już jako mała dziewczynka, aż prawie zdarła rowkowaną płytę.

Niewiele myśląc, David porwał ją w objęcia i pociągnął na parkiet. Nie chciała tego, lecz musiała przyznać, że czuła się bosko w jego silnych ramionach.

Zatrzymał się na moment i delikatnie zdjął jej z szyi aparat. Położył go na pianinie, prosząc, by muzyk miał na niego oko.

Starszy pan mrugnął porozumiewawczo, ani na chwilę nie wypadając przy tym z rytmu.

- Nie broń się - szepnął David, przytulając się do niej. - Ciocia będzie rozczarowana.

Libby znów wydała parsknięcie, choć zupełnie bez przekonania. Silne, gibkie ciało Davida budziło w niej pożądanie. Krew płonęła ogniem w jej żyłach.

- Nadal jestem na ciebie zła - wyszeptała mu prosto do ucha. - I to bardzo.

- Nic nie szkodzi - odszepnął i zachichotał cicho. - O ile potrafisz być zła i jednocześnie tańczyć, kochanie.

Owszem, mogła, głównie dlatego, że David okazał się boskim tancerzem. Swoje zamiary zdawał się przekazywać telepatycznie jej mózgowi i kończynom. Poruszali się po parkiecie w tak doskonałej harmonii, że Libby pożałowała, że nie ma na sobie długiej powłóczystej sukni. Czuła się jak Ginger Rogers w ramionach Freda Astaire'a, tyle że miała na sobie wypłowiałe dzinsy.

Nie zauważyła, że inne pary opuściły parkiet, tworząc krąg wokół nich. Gdy taniec się skończył, wybuchły gromkie oklaski. David kłaniał się lekko, Libby stała zarumieniona u jego boku. Zewsząd dobiegały okrzyki: „Bis! Bis!”.

Do diabła, to nie ona miała stać w blasku świateł. Jej zajęcie polegało na trzymaniu się w cieniu i fotografowaniu tych, którzy byli jaskrawo oświetleni. David to co innego, przywykł do sceny, braw i okrzyków. Ona zwyczajnie tego nie cierpiała.

- Gotowa jeszcze zawirować na parkiecie, Libby? - spytał żartobliwie.

- Idę stąd - warknęła z nagłą złością.

Wyrwała mu się, chwyciła aparat i przepchnęła się przez tłum gapiów do stołu z przekąskami, spodziewając się znaleźć tam coś mocniejszego niż cydr.

Nalewała właśnie złocisty, pachnący jabłkami napój do papierowego kubka, gdy David zawołał do niej głosem Bogarta:

- Facet w kuchni doprawi ci to za dwa dolce. Chodź za mną, kochanie.

Libby stłumiła wybuch śmiechu. Choć propozycja Davida brzmiała kusząco, zmusiła się do odmowy.

- Dzięki, ale mam jeszcze masę pracy - odparła, postukując w aparat.

Rozweselenie nagle go opuściło i przyjrzał jej się uważnie.

- Musimy porozmawiać, Libby. Teraz albo później, kiedy zechcesz. Zjedz ze mną kolację, dobrze? Wszystko ci wyjaśnię...

Potrząsnęła głową bez słowa.

Czemu się tak upierał? Są chyba jeszcze inne kobiety? Jego notes z telefonami ma pewnie grubość książki adresowej St. Louis, a wymienione tam panie marzą, żeby do nich zadzwonił.

- Czego się boisz? - spytał wyzywająco, przesywając ją spojrzeniem płonących zielonych oczu.

- Niczego - odparła sztywno. - Czemu niby miałabym się bać?

- Więc to udowodnij. Zjedz ze mną kolację. Proszę cię. Daj mi szansę, Libby, pozwól sobie wszystko wytłumaczyć. Jeśli dalej będziesz mnie uważała za zasługującego na rozdeptanie robaka, to dam ci już na zawsze spokój. - Podniósł prawą rękę. - Obiecuję.

Dopiła cydr i poszła jeszcze raz napełnić kubek. Ciekawe, jak David zamierza jej wyjaśnić swoje oszustwo. Co powie, żeby mu wybaczyła. Wątpiła, by osiągnął cel, lecz musiała zarazem przyznać, że nie powinna mu tego odmawiać. Miał prawo się wytłumaczyć.

Jej dłoń podczas nalewania cydru lekko drżała. Umysł był jednak spokojny, podjęła już bowiem decyzję. Spojrzała mu prosto w oczy.

- No dobrze, Davidzie, uważam, że masz prawo mi wszystko wyjaśnić. Zjem z tobą kolację i wysłucham cię, ale nie w twoim penthousie. I nie proś, bo zdania nie zmienię.

Nie dodała, że wspomnienia ich cudownej nocy będą ją nawiedzać przez resztę życia.

Na jego napiętej twarzy odmalowała się ulga.

- Rozumiem - powiedział. - Skończyli właśnie urządzać główną salę restauracyjną, więc będziemy w niej pierwszymi gośćmi. Chrzest bojowy - dodał ze śmiechem.

Wyobraziła sobie kadłub statku, na którym rozbija się butla szampana. Przy jej szczęściu to zapewne Titanic.

- O ósmej? - zaproponował.

- O ósmej - powtórzyła chłodno.

Najpóźniej o jedenastej będzie z powrotem w motelu, David zaś stanie się tylko pięknym wspomnieniem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po zakończeniu imprezy ciocia Elizabeth uparcie odmawiała przytoczenia swojej rozmowy z Davidem Halstromem. Wykrzykiwała jedynie, że to przystojny i wpływowy mężczyzna. „Muszę przyznać, że bardzo tobą zainteresowany, droga Libby!” - ale nic ponad to. Doug wrócił wraz z Libby do motelu i zajął się przeglądaniem poczty.

Libby nie miała ochoty na pogawędki. Minęło wpół do piątej po południu, zaczynała ją boleć głowa. O bólu serca lepiej nie wspominać. Myśl, że to ostatni wieczór w towarzystwie Davida, kładła jej się na piersi nieznośnym ciężarem, choć przecież sama tego chciała.

- Wiesz co, skarbie - zagadnął Doug, zsuwając okulary na czoło. - Pięćdziesiąt lat temu ten motel nieźle prosperował, lecz musisz przyznać, że czasy jego świetności minęły już raczej bezpowrotnie.

- Tak, wiem, ale mamy plan, jak to przywrócić - odrzekła Libby. - Za dwa dni odbędzie się narada zarządu fundacji ojca Jamesa i...

- I zapewne odrzuci ten pomysł - wtrącił Doug.

- To dość konserwatywne towarzystwo, jak się zorientowałem. Wolą robić to, co już było, a nie wypuszczać się w nieznanne. Musisz być tego świadoma. Nasz plan jest dobry, ale może się nie powieść.

- To dla nich świetna okazja - odparła.

- Oni mogą na to patrzeć inaczej, maleńka.

Odchylił się wraz z krzesłem i położył nogi na biurku. Libby czuła, że nie spodoba jej się to, co zaraz usłyszy.

- Ciocia Elizabeth robi się coraz starsza. I choć to może być dla ciebie niespodzianką, ja także.

- Starszy pan próbował żartować.

Och, Doug, nie chcę tej rozmowy, jęknęła w duchu.

- Wiem, że przykro ci to słyszeć, skarbie - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Ale trzeba się zmierzyć z faktami.

Poczuła się jak małe przerażone dziecko. Wydała z siebie rozdzierające westchnienie.

- Libby, dziś po południu David Halstrom przedstawił cioci wspaniałą ofertę.

Teraz poczuła się jak zdradzona kochanka.

- Nie wątpię.

- Ten teren jest sporo wart - kontynuował Doug - on zaś zaproponował znacznie więcej i to w gotówce. Żadnych rat, żywa gotówka prosto do ręki.

Chciała odpowiedzieć: „I co z tego?” zimnym tonem, ale zmilczała. Obgryzając paznokieć kciuka, czekała na dalsze słowa swojego starego przyjaciela.

- Elizabeth rozważa ofertę.

- To chyba dobrze.

- Owszem. Mam nadzieję, że będzie miała na tyle rozumu, żeby ją przyjąć. A jeśli spyta cię o radę, zachęcisz ją do tego. Gdybyś nie miała na to ochoty, to przynajmniej zatrzymaj swoje uwagi dla siebie.

Libby nie zamierzała się tak łatwo poddać.

- A co z planami remontu? Co z pieniędzmi, które mam na koncie?

Doug kołysał się w milczeniu na tylnych nogach krzesła. Złożonymi dłońmi podparł brodę, jakby się modlił.

- Jeżeli będziesz bardzo tego chciała... jeśli pragniesz tego całym sercem, to ciocia nie sprzeda motelu. Mogę ci tylko jedno poradzić, Libby, uważaj, czego sobie życzysz. Bądź naprawdę ostrożna.

Nie dał jej szansy na odpowiedź. Nachylił się w przód, postawił krzesło i wstał, przeciągając się.

- To był długi dzień, maleńka. Idę się wreszcie przespać w swoim wygodnym łóżku.

Libby odprowadziła go do drzwi i objęła na pożegnanie.

- Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że jesteś najlepszym ojcem na świecie?

Cmoknął ją w czubek głowy.

- Uhm, właśnie teraz - odrzekł ze śmiechem.

Kilka godzin później Libby stała przed szafą z dużym lustrem, poprawiając długą suknię koloru brzoskwini. Porzuciła zamiar wymyślnego upięcia włosów i rozpuściła je na plecy, nie troszcząc się o splątane loki.

Wmawiała sobie, że nie stroi się dla Davida, lecz na inaugurację sali restauracyjnej hotelu Markiz, ale sama w to nie wierzyła. Skoro miał to być ich ostatni wieczór, pragnęła, by David wiedział, co traci.

Zachrobotał żwir na podjeździe i po chwili rozległo się stukanie do drzwi. Libby wzięła głęboki oddech, po raz ostatni spojrzała w lustro, chwyciła torebkę i szal i otworzyła.

- Dobry wieczór, panno Jost - przywitał ją Jeff.

- Dobry wieczór, Jeff - odparła, zamykając starannie drzwi.

Ciekawiło ją, czy od początku współdziałał przy oszustwie Davida. Skoro jednak znajdował się na jego liście płac, nie miał wielkiego wyboru. Postanowiła ugryźć się w język i nie zadawać mu pytań, na które lojalność i tak każe mu nie udzielać odpowiedzi. Lepiej zapytać szefa.

Limuzyna sprawnie przewiozła ją na przeciwległą stronę autostrady. Fronton hotelu Markiz jarzył się światłami, jakby przyjmowano już gości.

W wejściu stał David, wyglądając, jakby zatrudnił samego siebie na stanowisku głównego odźwiernego. Brakowało mu tylko kapelusza.

Na jego widok Libby zapragnęła zatrzaskać drzwi limuzyny i kazać Jeffowi odjechać z piskiem opon. Odechciało jej się słuchać litanii jego usprawiedliwień. Obawiała się, że mogłaby mu przebaczyć.

A co potem? Kilka odurzających nocy w jego hotelu i pożegnanie? Libby pożałowała, że w ogóle spotkała mężczyznę, który pomógł jej wysiąść z auta.

W duchu poprzysięgła sobie, że nawet gdyby powołał się na ciężkie dzieciństwo, kiedy to regularnie go bito i odbierano ukochane pieski i kotki, nie wybaczy mu, że ją oszukał.

David nie przywykł rozmawiać o swoim życiu prywatnym. W ostatnich latach udzielił wywiadów wszystkim czołowym gazetom i czasopismom w kraju, a mimo to udało mu się nie odsłonić żadnych tajemnic osobistych.

Tego wieczoru zamierzał ujawnić jej Libby. Pragnął być otwarty i szczery, wyjawiać swe najwcześniejsze wspomnienia. I chciał, żeby mu przebaczyła.

Kazał nakryć do stołu w jednej z ustronnych salek bankietowych, kiedy więc ujrzał, że Libby włożyła suknię wieczorową, pogratulował sobie przezorności.

- Wspaniale urządzone pomieszczenie, Davidzie - pochwaliła Libby.

- Dziękuję. Mój zespół architektów pracuje razem już od siedmiu lat, umieją aranżować takie wnętrza.

Przechyliła głowę, wydymając usta w drwiącym uśmiešku.

- Czy rozmawiam z Davidem architektem, czy z Davidem Halstromem? Wybacz, zwykła ciekawość.

Roześmiał się serdecznie.

- To zabawne, wiesz? Jako dziecko naprawdę chciałem wykonywać ten zawód. Miałem chyba największą kolekcję klocków lego na świecie. A teraz staram się współpracować przy projektowaniu moich hoteli.

Przechyliła głowę w drugą stronę. David miał nadzieję, że słucha z uwagą, a nie z grzeczności.

Wszystko jedno, byle tylko zechciała go wysłuchać. W tej chwili wzięłby wszystko, co zechciałaby mu łaskawie ofiarować.

Po pięciu minutach rozmowy Libby wiedziała, że jest na przegranej pozycji. Pokonało ją lekkie drżenie górnej wargi Davida. Gdyby chociaż starał się buńczucznie ją przekonywać, że jego kłamstwo nie miało wielkiego znaczenia, zdołałaby może dotrzymać swojej przysięgi.

To śmieszne, powiedziała sobie. Kosztowny i elegancki wystrój sali nie robił na niej wrażenia. Kryształowe żyrandole rzucały migotliwe błyski, miękki aksamit niemal pieścił skórę. Mimo to myślała wyłącznie o Davidzie i o jego nerwowych gestach.

- Kazałem przygotować to jagnię, które tak ci poprzednio smakowało - rzekł, gdy przyniesiono potrawy. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

- Ależ skąd. Mogłabym je jadać co wieczór. Dziękuję ci.

No proszę, pomyślała, pamiętał, co jadłam poprzednio na kolację. Postanowiła przydzielić mu za to kilka punktów. Kelner zręcznie odkorkował butelkę wina i nalał

odrobinę do kieliszka Davida. Libby z zaskoczeniem zauważyła, że gdy próbował trunku, ręka lekko mu drżała. Jeśli szukała oznaki zwycięstwa, miała ją właśnie przed sobą. Może nie tarzał się u jej nóg, błagając o wybaczenie, ale i to wystarczy, uznała.

Oczywiście nie zamierzała powracać do poprzednich zażyłych stosunków. Dobrze wiedziała, że jej gospodarz jest miliarderem, a liczba kobiet, które chętnie zgodziłyby się paść mu do stóp, była niezmiernie duża. Libby nie należała do przesadnych skromniś, ale w tym wypadku zdziwienie było uzasadnione. Dlaczego ja? - musiała zapytać.

- Wciąż jeszcze mógłbyś zostać architektem, gdybyś tylko chciał - nawiązała do poprzedniego wątku rozmowy. - Musiałbyś jedynie przez kilka lat postudiować.

Upił łyk wina, nie odrywając od niej spojrzenia, po czym splótł dłonie na stole.

- Niezupełnie, kochanie - odparł. - Moja matka zmarła, gdy byłem małym dzieckiem, ojciec zaś przed ukończeniem przeze mnie osiemnastego roku życia. Musiałem opuścić szkołę i przejąć jego interesy. Nie zdążyłem nawet zdać do college'u.

- Bardzo mi przykro, Davidzie. Ja także jako małe dziecko straciłam rodziców. Zważywszy jednak na sukces, jaki odniosłeś, nie była ci potrzebna dalsza edukacja.

- Miałem dużo szczęścia, jeśli mam być szczery. I zawsze byłem we właściwym miejscu i o właściwym czasie - dodał.

W jego oczach odbił się blask kryształów z żyrandoli.

- Musisz jednak obiecać, że nikomu o tym nie powiesz, inaczej będę musiał cię zabić.

Libby nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

- Przyrzekam. Moje usta są zapieczętowane.

- Przez ostatnie piętnaście lat próbowałem uzupełnić swoją edukację. Zapisywałem się na różne kursy korespondencyjne, od antropologii po zoologię, no i mnóstwo czytałem. Cieszyło mnie to bardziej, niż gdy miałem osiemnaście lat. I z pewnością więcej skorzystałem.

Libby była pod wrażeniem, choć starała się tego nie okazywać. Mimo że chciała odnaleźć w Davidzie Halstromie cechy, które by ją od niego odpychały, nie udawało jej się to.

Szanowała jego decyzję, żeby przejąć interesy zmarłego ojca, chociaż oznaczało to nagły koniec beztrudnej młodości. David i ciocia Elizabeth mieli ze sobą wiele wspólnego. Oboje byli niezwykle wytrwali, mimo przeciwności losu. To jednak nie usprawiedliwiało jego kłamstwa.

Kelner sprzątnął talerze i nalał im kawy. Libby uznała, że pora spytać o to, czego David wyraźnie nie zamierzał poruszać.

- Czy miałeś choć trochę wyrzutów sumienia - zaczęła, mieszając kawę łyżeczką - gdy uwierzyłam w twoją bajkę o zaprojektowaniu tego pięknego budynku?

Ani chwili nie wahał się z odpowiedzią.

- Tak. Było mi naprawdę przykro. Bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Natychmiast pożałowałem swoich niefortunnych słów.

- Więc dlaczego...?

- Libby, byłaś moim wysnionym aniołem. Nie chciałem cię stracić w pięć minut po tym, jak cię wreszcie odnalazłem. Nie chciałem, żebyś się do mnie fałszywie uśmiechała i żeby w twoich ślicznych oczach pojawiła się zimna kalkulacja, ile możesz zyskać na naszej znajomości.

To dziwne, ale jego tłumaczenie miało sens.

- Pewnie często tak bywa...

- Nieustannie - odparł David z westchnieniem. - Jak w zegarku. Nie chciałem, żeby to samo stało się z tobą.

- To niezbyt miły komplement - zauważyła kąśliwie. - Po prostu założyłeś, że ja też uganiam się za majątkiem jak inne.

- Przecież cię nie znałem - zachnął się David.

- A teraz, skoro już mnie poznałeś?

- Libby, kochanie, gdybym miał cię spotkać ponownie... - Ujął jej obie dłonie w swoje. - Padłbym przed tobą na kolana i błagał mego anioła, by zechciał wyjść za mnie. Potem dopiero spytałbym cię o imię.

Jej serce wykonało osobliwą figurę. Czy dobrze słyszała? Czy David naprawdę proponował jej małżeństwo? Oświadczał jej się tu i teraz?

Jak to możliwe, skoro znają się ledwie od tygodnia? Potem przypomniała sobie, że zakochała się w nim na zabój po upływie doby. Czyżby to samo przytrafiło się i jemu? Czy to Kupidyn przebił ich serca jedną celną strzałą?

Libby przełknęła ślinę, zamierzając spytać, co dokładnie David miał na myśli, gdy wtem do salki wpadł blady jak ściana Jeff. W jego rozszerzonych strachem oczach malowała się panika.

- Naprzeciw hotelu wybuchł pożar. Wezwałem już pomoc.

TLR

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pędem wybiegli z restauracji. David wezwał przez komórkę limuzynę. Zajechała z piskiem opon przed fronton hotelu, gdy tylko stanęli w drzwiach.

David gestem pokazał kierowcy, że ma się przesiąść, i zajął jego miejsce. Libby czuła w nozdrzach odór dymu; pod zasnutym niebem gorzał pomarańczowy poblask.

- Pospiesz się, Davidzie, błagam cię - jęknęła.

Wcisnął gaz do dechy i pognął autostradą, jakby go diabeł gonił. Libby trzymała się z całej siły oparcia, gdy z piskiem opon skręcił na podjazd i gwałtownie zahamował.

- O Boże...

Zakryła dłonią usta na widok płomienia strzelającego w niebo z domku numer sześć w odległym kącie trawnika.

- Gdzie się podziewa straż? - spytał Jeff z paniką w głosie. - Przecież ich wezwałem. Powinni już tu być!

David wyskoczył z limuzyny i rozglądał się dookoła, jakby chciał zapamiętać straszliwy widok.

- Libby, gdzie jest najbliższy szlauch? - wrzasnął. - Słyszysz?

W głowie czuła kompletną pustkę. Ledwie zdawała sobie sprawę, gdzie się znalazła. Wiedziała tylko, że jej świat stoi w płomieniach.

- Libby! - ryknął David. - Szlauch!

Wyskoczyła z auta, jakby się wreszcie ocknęła z przerażenia.

- Tam. - Pokazała na trzeci domek. - Zwinięty na bocznej ścianie, tej od zachodu.

David rzucił się w tamtą stronę. Z oddali dochodziło wycie syren. Dlaczego przyjechali tak późno?

Stała jak sparaliżowana, patrząc, jak płomienie pochłaniają drewniane ściany domku numer sześć. Od zachodu wiał lekki wiatr, popychając płomienie na wschód, w kierunku kolejnego domku. Na jego dach spadał deszcz krwawoczerwonych iskier.

Boże, czy taki będzie koniec dorobku całego życia cioci? Smętna kupa popiołu? Jakie to smutne, że nie ma jej tutaj, żeby się mogła chociaż pożegnać.

W Libby obudził się instynkt reportera. Nie umiała gasić pożaru, ale wiedziała, jak go sfotografować. Rzuciła się biegiem do biura po aparat. Na szczęście włożyła do niego nowe baterie.

Jeżeli wszystko ma się dziś wieczorem skończyć, jeśli motel Haven View miał wydać ostatnie tchnienie, Libby będzie tego smutnym świadkiem. Wycelowała obiektyw i zaczęła fotografować.

Zachodni wiatr wiał teraz z większą siłą, unosząc w powietrze nie tylko iskry, lecz płonące fragmenty ścian i dachówek. Niedługo sąsiedni domek także stanie w płomieniach.

Właśnie wtedy zauważyła Davida. Stał między oboma domkami, polewając sikawką boczną ścianę domku numer pięć i starając się dosięgnąć dachu. Walcząc z rozprzestrzeniającym się ogniem, wydawał się nie zauważać, że sypie się nań deszcz iskier.

- David! - wrzasnęła i zamachała do niego gwałtownie. - Wyjdź stamtąd! To zbyt niebezpieczne!

Spojrzał na nią, ale chyba jej nie słyszał.

- Wychodź! No już!

Wozy strażackie były coraz bliżej, po wschodniej stronie nieba widać było kolorowe rozbłyski. Szybciej, poprosiła w myśli Libby. Błagam was, szybciej.

Odwróciła się w porę, by uchwycić walącą się ścianę domku numer sześć. W nocne niebo buchnęły płomienie, snop iskier, rozżarzone fragmenty konstrukcji.

- David! - krzyknęła Libby.

Wyłonił się w końcu spoza kłębow czarnego dymu i biegiem opuścił niebezpieczne miejsce, klepiąc się dłońmi po włosach i ubraniu, jakby i on miał stanąć w płomieniach.

Dach domku piątego zapalił się w chwili, gdy wozy strażackie wjechały na podjazd. Ich ciężar sprawił, że pod stopami Libby zadrżała ziemia. Cofnęła się chwiejnie i opadła na kolana, niezdolna dłużej ustać.

Zrobiła jeszcze kilka zdjęć, ale kąt był fatalny, a ręce trzęsły jej się tak, że uznała, że dość fotografowania. Siedziała oszołomiona jak ofiara pożaru.

Jeff podszedł i usiadł obok niej. Nie wiedziała, skąd przyszedł, ale twarz i mokre wymięte ubranie były poplamione sadzą.

- Bardzo mi przykro - bąknął.

Libby dała mu delikatnego kuksańca pod żebro.

- Dzięki, Jeff. Mogło być gorzej. Na szczęście nikt nie ucierpiało.

- To prawda - odrzekł, zapatrzone na walczących z płomieniami strażaków. Pożar stopniowo przygasał. - Między nami mówiąc, panno Jost, nigdy nie uważałem, że Haven View jest jakąś straszną rudera.

Zachciało jej się płakać. Brzmiało to tak, jakby motel już dokonał żywota.

- Szef uważał, że to szkaradzieństwo; ja nie - dodał jeszcze.

- Dzięki - mruknęła.

Więc David tak uważał. Nie powinno jej to zdziwić, niemniej jednak poczuła się zdradzona. Motel był jej bliski jak członek rodziny, którego honoru powinna bronić. W istocie chodziło o honor cioci Elizabeth, którego była gotowa bronić po kres życia.

Przemknęło jej przez myśl, że być może to David stał za nagłym wybuchem pożaru. Kto wie, może wydał instrukcje Jeffowi lub innemu podwładnemu, z rąk do rąk przeszły pieniądze. Kanister benzyny, kilka zapalek. Czy ktoś by się o tym dowiedział? Kto by się przejął, poza ciocią Elizabeth, Libby i Dougiem?

Może ta kaskaderska jazda na pomoc i heroiczny występ ze szlauchem były na pokaz? A może, pomyślała ze znużeniem, daje się ponieść swojej wybujałej wyobraźni?

Zmagala się z myślami, gdy nagle pojawił się David i ciężko opadł na ziemię obok niej. Wszyscy troje patrzyli w milczeniu, jak jeden po drugim gasną żarłoczne płomienie.

Pół godziny później w powietrzu wyczuwało się ciężką, drażniącą wilgoć. Nie było widać ognia ani dymu, ale strażacy kręcili się nadal po terenie.

Libby wciąż jeszcze siedziała na skraju placu zabaw, mając obok siebie Jeffa i Davida. Ciężka chmura dymu nie zasłaniała już dłużej rozgwieżdżonego nieba. Jakie to smutne, że tragiczny pożar wybuchł w tak śliczną noc.

Przerwana kolacja w hotelu Markiz odeszła w przeszłość. Libby pamiętała jednak słowa Davida i jęła się teraz zastanawiać, czy miały odciągnąć jej uwagę od zdarzeń po drugiej stronie szosy.

Zerknęła na niego. Wpatrywał się w dal, na jego zamyślonej twarzy odbijały się migotliwe refleksy lamp wozów strażackich. Modliła się, by jej podejrzenia okazały się wysrane z palca. Bo jeśli nie...

Zbliżył się do nich strażak w ciężkich butach i kombinezonie.

- Jestem kapitan Burford - przedstawił się. - Szukam właściciela.

Libby podniosła się z trudem i owinęła ciasniej szal wokół ramion.

- To chyba ja. Nazywam się Libby Jost - rzekła, podając mu rękę. - Prawnym właścicielem jest wprawdzie moja ciocia, ale obecnie przebywa w szpitalu.

- Udało nam się opanować pożar. Standardowa procedura przewiduje, żeby jeszcze trochę poczekać, czy gdzieś nie pojawią się płomienie.

Libby skinęła w milczeniu.

- Czy była pani na miejscu, gdy pożar wybuchł?

Potrząsnęła niemo głową.

- Nie, byłam naprzeciw, to znaczy w hotelu po drugiej stronie szosy, na kolacji. - Zamierzała powołać Davida na świadka, ale strażak przyjął jej tłumaczenie.

- W tej chwili jesteśmy raczej pewni, że przyczyną była wadliwa instalacja elektryczna w ostatnim domku, a nie podpalenie. Nasz inspektor wróci tu jutro rano, żeby się rozejrzeć i wydać ostateczną opinię.

- Dobrze - bąknęła Libby bezdźwięcznie.

Więc brali podpalenie pod uwagę. A może zawsze tak było, póki nie ustalili prawdziwej przyczyny.

Spojrzała ukradkiem na siedzącego na ziemi Davida. Na jego twarzy nie było śladu paniki ani niepokoju. Wiedziała jednak, że jest on dobrym aktorem. Bez trudu zdołał ją przekonać, że jest architektem, a nie multimilionerem.

Strażak notował coś na podkładce.

- Oflagujemy teren - oznajmił. - To znaczy, że motel będzie zamknięty do odwołania. Czy to jasne?

- Tak. - Uznała, że szkoda czasu na tłumaczenia, że i tak nie był otwarty.

- W porządku - rzekł energicznie mężczyzna i podał jej kopię wypełnionego dokumentu. - Nie musi pani tu przebywać, jeśli pani nie chce. Będziemy wszystkiego pilnować. Proszę zjawić się jutro około dziewiątej, kiedy przyjedzie inspektor.

Libby wzięła dokument drżącymi rękami.

- Będę - odparła krótko i znów usiadła między dwoma potencjalnymi sprawcami.

- Załatwione? - spytał cicho David.

- Tak. Chyba tak.

- Więc wróć ze mną do hotelu. Nie chcesz chyba spędzić tu nocy, Libby.

Nie chciała. Na samą myśl poczuła przypływ paniki.

- Dziękuję ci - szepnęła.

Czy miała jakiś wybór?

TLR

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gdy winda wjechała na szczyt budynku, Libby zdawała się spać na stojąco. Nie bacząc na jej przemoczone ubranie, David chwycił ją na ręce i zaniósł do beżowobladoniebieskiej sypialni.

Nie było w niej okien wychodzących na południe. David uznał, że Libby nie powinna teraz oglądać zniszczeń po drugiej stronie autostrady.

- Zdejmij tę mokrą suknię, kochanie, a ja znajdę ci coś do przebrania.

Stała obok łóżka jak wyczerpane dziecko, podczas gdy on pomógł jej rozpiąć suwak. Materiał cuchnął dymem i popiołem; delikatna woń perfum dawno się ulotniła. Nachylił się, żeby pocałować jej chłodną skórę nad obojczykiem. Przyjęła pieszczotę z gardłowym pomrukiem.

Bezbrzeżna tęsknota rozlała się w jego ciele jak fala przyływu. Powalony niemal potęgą tego uczucia, cofnął się i przełknął z trudem. Zmusił umysł do opanowania.

Boże, jakże jej pragnął. Gdyby szło o inną kobietę, rzekłby sobie „a co tam” i dążył do zaspokojenia swej żądzy, nie bacząc na stan jej emocji. Nie mógł tego jednak zrobić Libby. Zanadto się o nią troszczył.

Z ciężkim westchnieniem ruszył na poszukiwanie odzienia. W przylegającej do sypialni łazience znalazł kremowe jedwabne kimono. Po raz pierwszy od wybuchu pożaru spojrzął na siebie w lustrze.

Podobnie jak Libby wyglądał, jakby stoczył zażartą walkę. Na czole, policzkach i szyi miał ciemne smugi sadzy, w koszuli powypalane dziury. Włosy zmierzwione i brudne, miejscami przypalone. Kiedy Libby spokojnie uśnie, zamierzał wziąć długi gorący prysznic, a potem paść na łóżko.

Gdy wrócił do sypialni, Libby nadal stała zapatrzona w przestrzeń.

- Włóż kimono, skarbie, a ja przyrządzę ci drinka na dobranoc.

- Dzięki - odrzekła bezbarwnym tonem.

Jej oczy błyszczały, lecz nie był pewien, czy to łzy, czy podrażnienie od dymu.

Nalał kieliszek brandy i podszedł do okna od południa. Na podjeździe motelu stał radiowóz. Brak dwóch domków sprawiał dziwne wrażenie. Prawie mu ich brakowało.

Pomyślał, że w ubiegłym tygodniu wybuch pożaru by go ucieszył. Stałby tu, gdzie teraz, napawając się widokiem ginących w płomieniach baraków. Śmiały się do strzelających w niebo iskier.

Wówczas jednak nie znał jeszcze Libby. Jego życie dzieliło się na okres przed poznaniem Libby i po jej poznaniu.

Dolał sobie brandy i napełnił kieliszek dla niej. Zmięta suknia wisiała na oparciu krzesła. Przyszło mu na myśl, żeby wezwać Jeffa i kazać mu się nią zająć, ale zrezygnował. Niech się chłopak wyśpi, a jutro, a właściwie dzisiaj, może dostanie dzień wolny.

Nie do wiary, uśmiechnął się w duchu. Zmieniał się w miłego faceta, któremu zależy na innych ludziach. Miał nadzieję, że nikt się o tym nie dowie. Zaszkoziłoby mu to w interesach.

Gdy Libby się obudziła, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, natomiast wiedziała, gdzie miała być o dziewiątej. W motelu. Niestety, cyfrowy budzik pokazywał, że minęła już jedenasta.

Z jękiem wyprostowała się w łóżku. Miała na sobie jedwabne kimono. Jej włosy cuchnęły dymem. Nagle wszystko jej się przypomniało.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Libby? - usłyszała głos Davida.

- Nie śpię - odparła i David wszedł do sypialni.

Miał na sobie szyty na miarę ciemnoszary garnitur i świetnie dobrany krawat. Wyglądał świeżo i zdrowo. Instynktownie podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Jak się dziś czujesz? - spytał, przysiadając na brzegu łóżka.

- Lepiej. Martwię się tylko, że przespałam spotkanie z inspektorem. Może zadzwonię i...

- Nie potrzeba. Poszedłem tam jako twój przedstawiciel.

- Naprawdę? - Nie była pewna, czy ma być wdzięczna, czy raczej podejrzliwa.

Pomagał jej czy przeszkadzał? - Co powiedział inspektor?

- Po pierwsze spotkałem tam Douga.

Opadła na poduszki.

- Powinnam była do niego zadzwonić... Boże, to musiało być dla niego straszne, gdy przyjechał i zobaczył zniszczenia... - urwała.

- Owszem, ale zachował spokój. Chyba nie uważał, że stała się jakaś niewyobrażalna tragedia. Cieszył się, że nikt nie ucierpiał.

- Uhm - bąknęła.

- Po drugie, dostaniesz kopię raportu. Facet wszystko dokładnie obejrzał.

- I...? - czuła, że wstrzymuje oddech.

- Jest pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że winę ponosi wadliwa instalacja z domku numer sześć. Niemal od początku wykluczył podpalenie. Doug potwierdził, że kilka lat temu w tym domku wybuchł pożar.

- Nie wiedziałam.

- Doug powiedział, że nie chciał cię wtedy martwić.

- No to trzeba wymienić instalacje. - Z trudem przywołała swój optymizm. - Czy to bardzo trudne?

- Przykro mi - odparł, wzruszając ramionami. - Motel jest na razie opieczętowany. Zakaz eksploatacji i zamieszkiwania do czasu kolejnej inspekcji.

Libby z jękiem zakryła sobie twarz poduszką. Po chwili wyjrzała zza niej i spytała:

- Czy masz dla mnie jeszcze jakieś okropne wieści?

- Nie. Przynajmniej na razie. - Uśmiechnął się do niej promiennie. - Mam też dobrą wiadomość: gorąca kąpiel gotowa, a śniadanie będzie za kwadrans.

Były to faktycznie dobre wieści. Kiedy już się umyje i napełni żołądek, przyjdzie czas na dalsze rozważania.

David obserwował, jak Libby z lubością zanurza się w bąbelkach jacuzzi. Pragnął oglądać ten widok przez następne pięćdziesiąt lat.

Podał jej wielką szklankę soku z pomarańczy i kciukiem delikatnie starł plamki sady z policzka i czoła.

Uśmiechnęła się do niego szeroko i z przyjemnością zanurzyła wargi w złocistym płynie.

Trochę się zdziwił, że Libby jest w stanie przywołać uśmiech na twarz. On sam po śmierci ojca nie uśmiechał się chyba przez dekadę.

Wczorajszego wieczoru pod wpływem impulsu, który jego samego zaskoczył, poprosił, żeby za niego wyszła. Czuł się tak, jakby ktoś inny wypowiadał za niego te słowa. Dziś jednak wiedział, że oświadczyły były szczere. Nieważne, że znali się ledwie od kilku dni. Z ochotą spędzi resztę życia u boku tej pięknej, odważnej kobiety.

Niestety, jego wybranka chyba nie usłyszała lub też nie pamiętała tych oświadczeń. Nic dziwnego zresztą, zważywszy na traumę, jaką wczoraj przeżyła. Teraz jednak David nie miał pojęcia, jak ponowić swoją propozycję.

Odważny w sprawach biznesowych, w życiu osobistym był kompletnym tchórzem.

- Wiesz może - odezwała się nagle Libby - czy Doug poinformował już ciocię Elizabeth?

Skinął głową i odparł:

- O ile wiem, miał ją dzisiaj odwiedzić i opowiedzieć jej o tym, co się tu wczoraj wydarzyło.

- Postanowił nie wyjawiać Libby wszystkiego.

Westchnęła i wsunęła się głębiej w pachnącą kąpiel.

- Ciocia będzie bardzo zmartwiona. Biedaczka. Ten motel był jej całym życiem. Gdzie ona się podzieje po wyjściu ze szpitala? To przecież już niedługo...

- Hmm...

- Co hm? - spytała, przekrzywiając głowę.

- Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego.

- Hmm...

David nie był przyzwyczajony do takiej rozmowy. Zazwyczaj mówił otwarcie, o co mu chodziło. Postanowił i teraz uciec się do tej metody.

- Zaproponowałem twojej cioci apartament w hotelu Markiz, jak długo będzie potrzebny. - Zerknął na zegarek. - Przypuszczam, że Doug właśnie ją o tym powiadamia.

Przez bardzo długą chwilę nie spuszczała z niego wzroku. David czuł się jak na przesłuchaniu Inkwizycji. Z miny Libby nie mógł wywnioskować, czy mu podziękuje, czy może da mu po głowie.

Zanim odpowiedziała, upiła duży łyk soku.

- Postąpiłeś bardzo wspaniałomyślnie, Davidzie - rzekła w końcu. - Bardzo ci dziękuję.

Odetchnął głęboko i zatoczył łuk ramieniem.

- Hotel jest naprawdę duży. Nie zabraknie miejsca i dla Douga, jeśli będzie chciał dołączyć do cioci.

Woda plusnęła głośno, gdy Libby wyprostowała się w wannie.

- Naprawdę im to zaproponowałeś? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak - odrzekł. Nie był pewien, czemu jego propozycja aż tak ją wzburzyła. - Skoro od tak dawna byli ze sobą, uznałem, że pewnie nie chcieliby się rozstawać.

Libby mrugała powiekami, jakby dostała jej się woda do oczu.

- Może i byli ze sobą, ale nie mieszkali razem - uściśliła.

Z ledwością stłumił śmiech.

- No to najwyższa pora zacząć. Jestem pewien, że znasz to przysłowie „Lepiej późno niż wcale”.

- Ależ dla mnie to żaden problem - obruszyła się. - Kiedyś sama im to proponowałam. - Z westchnieniem wzniosła oczy do nieba. - Nie wiem jednak, co będzie z wujkiem Joe.

- Rozumiem, co masz na myśli. Sam niemal uwierzyłem, że on żyje, gdy ciocia wspomniała mi o nim w szpitalu. Lecz przecież ona w to nie wierzy, co?

- Być może wujek uzna, że lepiej straszyć w Haven View, niż się przeprowadzić do nowego hotelu - odparła, wzruszając ramionami.

- W takim razie musimy chyba poczekać, co się stanie.

Libby zanurzyła się w ciepłej wodzie aż po brodę. David pomyślał, że czekanie nie jest jego ulubionym zajęciem, ale akurat teraz nie miał innego wyjścia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ledwie Libby wyszła z relaksującej kąpieli i zdążyła się wytrzeć, rozległ się stłumiony sygnał komórki ukrytej głęboko w torebce. Owinęła się byle jak ręcznikiem i odebrała.

Doug wrzeszczał tak, że prawie ją ogłuszył.

- Libby, mam wspaniałe wieści! Lekarze wypisali Elizabeth. Pakujemy się i niedługo będziemy w domu!

Libby otworzyła usta ze zdziwienia. Nie spodziewała się, że wypis nastąpi tak szybko. Zakręciło jej się w głowie, co mogło mieć związek z długą kąpielą i obfitym śniadaniem składającym się z jajecznicy na bekonie i grzanek. Przysiadła na krawędzi łóżka.

- Gdzie chcesz ją zabrać, Doug? - spytała słabym głosem.

- Wiesz, jaka potrafi być uparta - odparł, chichocząc. - Powiedziałem jej o pożarze i dałem do wyboru: mój dom albo Markiz. Ponieważ Elizabeth dobrze wie, ile u mnie kurzu i stosów starych gazet, szybko wybrała hotel.

Libby przypomniała sobie, że David zaproponował mieszkanie obojgu starszkom, nie przyszło jej jednak do głowy, że zechcą z niego tak szybko skorzystać!

- Jak tylko Elizabeth się spakuje, jedziemy do Markiza - powtórzył uradowany Doug.

W tym momencie Libby uświadomiła sobie, że poza mokrym ręcznikiem i skąpym kimonem, w którym przespała noc, nie ma co na siebie włożyć. Nie mogła się tak pokazać najbliższemu.

- Gdzie teraz jesteś, Libby? - chciał wiedzieć Doug.

- W hotelu - odrzekła. Praktycznie goła, dodała w myśli.

- To świetnie - ucieszył się starszy pan. - Czekać na nas, kochanie, powinniśmy niedługo przyjechać.

Libby zawołała Davida w nadziei, że pomoże jej odzyskać suknię. Okazało się jednak, że została odesłana do czyszczenia.

- Przyznam, że podobasz mi się w tym stroju - rzekł David, uśmiechając się do niej.

- Wątpię, żeby ciocia podzieliła twój pogład, a będzie tu za niecałą godzinę. Potrzebuję ubrania!

Jak zwykle do dzieła wziął się nieoceniony Jeff, który dostał listę rzeczy do przywiezienia z motelu. Po półgodzinie Libby z ulgą zamieniła ręcznik na dżinsy i czarny golf.

David zamknął się w gabinecie zajęty interesami, a Libby zjechała windą do holu i czekała na przybycie cioci. Do wielkiego otwarcia pozostało tylko kilka dni i w hotelu panowało już ożywienie. Lobby było jasno oświetlone, recepcja działała i przyjmowała gości.

Libby wyszła przed hotel i stojąc w słońcu, obserwowała sznur taksówek i luksusowych limuzyn na podjeździe. Musiała chyba oszaleć, skoro sądziła, że ktokolwiek chciałby nocować w Haven View, nawet za darmo, mając do wyboru ten nowy i piękny budynek.

Istniała oczywiście szansa, że ojciec James przydzieli jej ekipę robotników, jednak Libby straciła wiarę, że rada miejska przykłaśnie temu projektowi. David również nie zaakceptuje istnienia takiej rudery na wprost swego hotelu.

Prawdopodobnie miał rację.

Libby uznała, że pora przemyśleć plan wykorzystania pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Zaczęła notować w pamięci inne możliwości, gdy na podjazd! wjechał stary samochód Douga.

Jeff pomógł staruszkom przy rejestracji, a potem towarzyszył im do pięknego apartamentu na dwudziestym piętrze. Składał się z dwóch sypialni, dwóch łazienek, obszernego i ładnie urządzonego salonu oraz małej, dobrze wyposażonej kuchenki. Zapewne nieprzypadkowo okna wychodziły na północ, dzięki czemu ciocia Elizabeth nie musiała oglądać zniszczeń na terenie motelu.

Przed wyjściem Jeff wręczył Libby kartę potraw, które dostarczano do pokoju.

- Lunch przyniosą na górę, jak tylko go zamówicie - oznajmił. - Rachunek został już zapłacony.

- Dziękuję, Jeff. Za wszystko - odrzekła szczerze Libby.

- To nie mnie proszę dziękować, panno Jost - wyjaśnił z uśmiechem młodzieniec. - Pan Halstrom zatroszczył się o każdy szczegół. Ja tylko wykonuję jego polecenia. Właściwie to ja powinienem pani podziękować, bo odkąd szef panią poznał, znacznie łatwiej się z nim dogadać. Mam nadzieję, że zostanie pani z nami jak najdłużej.

Po około dwóch kwadransach dostarczono lunch. Kelner rozstawił naczynia na stole znajdującym się obok wejścia do kuchni. Libby chciała mu dać napiwek, ale odmówił.

- To wbrew poleceniu szefa - wyjaśnił. - Życzę państwu smacznego.

Ucieszona perspektywą zmiany marnego szpitalnego jadłospisu, ciocia Elizabeth zabrała się za sałatkę ze świeżych owoców i stek z pieczonymi ziemniakami. Oba talerze wymiotła niemal do czysta. Pożar motelu wyraźnie nie wpłynął na jej apetyt.

Po skończonym posiłku wszyscy napili się kawy.

- Musimy porozmawiać o Haven View - zagadnęła ostrożnie Libby. - Jeśli jesteś gotowa, ciociu Elizabeth, to najchętniej teraz.

- Doug i ja przemaglowaliśmy już ten temat, kochanie - odrzekła ciocia. - Podaj mi śmietankę, dobrze?

Libby spojrzała na Douga. Jego mina mówiła głośno i wyraźnie: nie rozmawiaj ze mną, tylko z nią.

Libby spróbowała ponownie.

- Czy udało wam się podjąć konkretne decyzje? Być może mogę wam pomóc ocenić dostępne możliwości.

Ciocia odłożyła łyżeczkę, którą mieszała kawę.

- Nie chcę, żebyś się tym denerwowała, ale ja już wiem, co zrobię. Sprzedam motel najszybciej, jak się da.

- Co takiego? - spytała Libby zdławionym głosem.

- Podaj mi cukier, dobrze? Dziękuję. Pomyślałam, że będzie ci przykro, więc odwlekałam moment wyjawienia swojej decyzji. Na razie cieszymy się, że znów jesteśmy razem.

Ciocia ponownie zaczęła mieszać kawę, gdy wtem rozległo się pukanie do drzwi.

- Ja otworzę - powiedział Doug, wstając z krzesła. - Pewnie kelner przyszedł po naczynia.

Libby milczała, nie chcąc się wdawać w dyskusję w obecności obsługi. Była naprawdę zirytowana, łagodnie mówiąc, że ciocia podjęła decyzję za jej plecami. Motel nie należał wprawdzie do niej, mimo to było jej przykro, że została wyłączona ze sprawy.

- Wiedziałam, że będziesz niezadowolona - orzekła szeptem ciocia. - Doug uważa, że w obecnych okolicznościach nie mamy ani chwili do stracenia.

- W jakich okolicznościach? - szept Libby przypominał syk węża. A potem dodała słowa, które ją samą zaskoczyły: - A co z wujkiem Joe?

- Och, skarbie... - Ciocia Elizabeth nachyliła się i poklepała ją po grzbiecie dłoni. - Przecież wiem, że nigdy mi nie wierzyłaś.

- Ale... - Libby straciła wątek.

Nie rozumiała, jak ciocia może być tak spokojna, skoro jej samej kręciło się w głowie.

- To był mój sposób radzenia sobie ze smutkiem - wyjaśniła ciocia. - Po części naprawdę wierzyłam, że on jednak żyje. Przynajmniej na początku.

- Ale...

- Ludzie uważali, że zwariowałam, więc dawali mi spokój - mówiła dalej starsza pani. - Zresztą dopiero po kilku latach ja także uznałam, że Joe już nigdy nie wróci. Nie zrezygnowałam jednak z czekania, bo dzięki temu mogłam utrzymać motel. Nikt w radzie miasta nie ośmielił się wystąpić przeciw tej „biednej staruszce, której pomieszało się w głowie”.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś - bąknęła Libby, gdy już odzyskała mowę.

- Zakładałam, że mnie rozumiesz, skoro nigdy o nic nie pytałaś.

Wrócił Doug z promiennym uśmiechem na ustach.

- Patrzcie, kto nas odwiedził! - zawołał.

Tuż za nim ukazał się David.

Miał na sobie drogi trzyrzędowy garnitur, włoskie buty i uśmiechał się triumfująco. Gdy go ujrzała, wszystkie elementy układanki w jej głowie zaczęły do siebie pasować. Ten człowiek knuł i prowadził interesy za jej plecami, chodząc z nią jednocześnie do łóżka. Nie miała już żadnych wątpliwości.

A teraz ów wąż w ludzkiej skórze miał czelność cmoknąć jej starą ciotkę w czubek głowy.

- Jak ci się podoba apartament, Elizabeth? - spytał uprzejmie. - Jest inny, większy, gdyby ten okazał się za mały. Wyraź tylko życzenie, jak to mówią. Za dwie, trzy godziny przeprowadzka będzie załatwiona.

- W porównaniu z dotychczasowym lokum - odparła ze śmiechem ciocia Elizabeth - to po prostu raj na ziemi. Usiądź, napij się z nami kawy.

- Chętnie - rzekł, przysuwając sobie krzesło.

Libby nie była w stanie tego dłużej znosić. Głowa pękała jej od nawału myśli. Gdy tylko David zdążył usiąść, zerwała się z miejsca.

- No tak - warknęła, kiwając cioci głową. - Wpadnę do was później. Mam po południu kilka spraw do załatwienia.

Była już niemal przy drzwiach, gdy usłyszała, że David idzie za nią. Rzuciła się do schodów przeciwpożarowych.

- Libby - zawołał, gdy ciężkie drzwi zamknęły się za nią.

Do diabła. Zbiegając po dwa stopnie, jakby hotel faktycznie stał w płomieniach, pokonała dwa piętra, zanim David złapał ją za rękę.

- Libby - powtórzył zdyszany.

Wiedziała, że to nic nie da, mimo to wrzasnęła piskliwie, żeby ją puścił i dał jej spokój.

- Dlaczego ode mnie uciekasz?

- Nie uciekam. Puść mnie!

- Najpierw powiedz mi, o co chodzi. To jakieś wariactwo. Dlaczego się tak zachowujesz?

- Ponieważ działając za moimi plecami, ukradłeś motel mojej cioci. Czy sądziłeś, że się o tym nie dowiem?

Patrzył na nią, potrząsając głową w milczeniu.

- Myślałem, że wiesz. Że ciocia powiedziała ci o naszej rozmowie.

- Nic nie wiedziałam. Dopiero dzisiaj... - Głos jej się załamał.

Walczyła o opanowanie. Najchętniej kopnęłaby go w pizszel.

- Co takiego jej dałeś w rewanżu za ten cenny teren? Średniej wielkości apartament w hotelu, smaczny lunch i co jeszcze? Parę dolarów na osłodę? Taki interes z nią ubiłeś?

- Tak ci powiedziała?

- Nie. Tego się spodziewam po bezwzględny rekinie z rynku nieruchomości!

David cofnął się o krok i patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Twoja ciocia nie podpisała jeszcze dokumentów, ale zaproponowałem jej trzy i pół miliona dolarów. Owszem, powiedziałem, że oboje z Dougiem mogą tu mieszkać, jak długo zechcą, ale nie jest to część umowy.

Teraz Libby się cofnęła.

- Trzy i pół miliona? To za dużo - oznajmiła. - Teren jest wart najwyżej dwa miliony.

- Wiem o tym, kochanie - odparł niskim wibrującym głosem. - Zaufaj mi, Libby. Znam się na tym i wiem, co robię.

- Po prostu nic nie rozumiem - odparła, potrząsając głową. - Wiem, że przesadzam z opieką nad ciocią, która wcale tego nie potrzebuje, a poza tym jestem w tobie szaleńczo zakochana, lecz zarazem tak mnie rozzłościłeś, że mogłabym... - przerwała ten potok słów i tupnęła nogą.

- Część z tego, co powiedziałaś, bardzo mi się podoba - rzekł, chichocząc. - Trzeba tylko popracować nad poziomem twojej złości. Chodź do mnie.

Przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach.

- Kocham cię, Libby. Nie wiem, jak i dlaczego to się stało, ale jestem na wieki twój, jeśli tego chcesz - wyszeptał.

Libby roześmiała się na wspomnienie jego niezbyt jasnych oświadczeń.

- Uściślijmy to, Davidzie - powiedziała. - Czy ty mi się oświadczasz?

- Uhm. Proponuję ci małżeństwo. Chyba że wolisz iść w ślady twojej cioci. - Pogładził jej włosy. - Ja wiem jedno: chcę być z tobą przez co najmniej pięćdziesiąt lat.

- Czy to wszystko?

- Na początek wystarczy, kochanie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następne kilka dni w umyśle Libby zlały się w jedno. Zasypiała i budziła się w ramionach Davida. Poza tym w hotelu Markiz tyle się działo, że ledwie to ogarniała.

Na otwarcie przysłyły tłumy, wszystkie pokoje i apartamenty były wynajęte. Na miejsce w głównej restauracji czekało się dwie godziny. Bar był nieustannie zatłoczony. Zjawiało się mnóstwo sławnych ludzi, w tym hollywoodzkich gwiazd. Libby dotąd widywała te znakomitości najwyżej w telewizji lub w kinie. Paparazzi mieliby tu używanie.

- Czy zawsze tak jest? - pytała Davida, tuląc się doń w łóżku.

- Każdy nowy hotel przyciąga wielu gości - odparł ze znużeniem. - Wydaje się, że w dzisiejszych czasach ludziom właśnie na tym zależy.

- Mnie zaś zależy na tobie - mruknęła, całując go w szyję.

- Gdy to się wreszcie skończy, wyjedziemy w jakieś spokojne miejsce, obiecuję. Będziemy mieli podróż poślubną, jeśli tylko będziesz chciała.

- Och, byłoby cudownie!

Obecność cioci Elizabeth i Douga bardzo się przydała. Starszy pan spędzał masę czasu w lobby, z upodobaniem obserwując znamienitych gości i udzielając im wszelkich informacji o miejscowych atrakcjach.

Gdy David się o tym dowiedział, kazał postawić w holu stanowisko informacyjne, w którym codziennie zasiadał uszczęśliwiony Doug, odpowiadając na pytania i rozdając broszury dla turystów. Bawił się przy tym doskonale.

Ciocia Elizabeth natomiast wręczała opuszczającym hotel gościom ankiety z pytaniem, jak oceniają swój pobyt, prosząc, by wypełnili je na miejscu. Miała przy sobie zapasowe długopisy i namawiała wszystkich do szczerych opinii. Nikt nie śmiał odmówić dystygowanej staruszce o kulach.

Gdy tylko spotykała Davida, podchodziła do niego i dawała mu wypełnione ankiety. Libby z ulgą stwierdziła, że David był niesamowicie cierpliwy.

- Czemu nie? - spytał. - Twoja ciocia znajduje słabe punkty hotelu. Goście skarżyli się na przykład na długi czas oczekiwania na dostarczenie bagaży do pokoi. Ciocia za-

proponowała kolorowe nalepki, dzięki którym można ten czas skrócić o połowę. Jest niesamowita.

- Działa w tym biznesie od lat. Powinieneś ją umieścić na liście płac - zażartowała Libby. - No i Douga.

- Myślę, że to zrobię.

- Davidzie, nie mówiłam poważnie!

- A ja tak.

Libby pozostał tylko jeden problem. Na koncie posiadała swoje pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a skoro nie mogła ich użyć na remont, musiała wymyślić sposób ich wykorzystania.

David niewiele jej pomógł.

- Istnieje mnóstwo organizacji charytatywnych, Libby. Nie musisz wybierać tylko jednej. Możesz podzielić tę sumę.

- To takie bezosobowe - odparła. - Wolałabym, żeby to było coś specjalnego. Nie chcę zwyczajnie posłać czeku.

Pewnego dnia towarzyszyła cioci Elizabeth i Dougowi do prawnika, gdzie mieli podpisać dokumenty sprzedaży motelu. Tam wreszcie wymyśliła sposób.

David przybył tam wcześniej w innym celu. Transakcja kupna Haven View przebiegła bez zakłóceń. Libby martwiła się w nocy, że ciocia może jeszcze zmienić zdanie.

Starsza pani nie okazywała jednak smutku, lecz ulgę, że może przekazać resztę spraw w ręce Davida. Promieniała, składając podpis, i wyglądała młodziej niż ostatnio.

- Jeśli to wszystko - oznajmiła, podnosząc się z krzesła i z godnością opierając na lasce - chciałabym teraz wrócić do Markiza, bo oboje z Dougiem mamy tam masę pracy.

Gdy starsi państwo wyszli, prawnik spytał Davida, czy ma jakieś plany w związku ze starym motelem.

- Pytam w imieniu klienta, który jest zainteresowany tą posiadłością - wyjaśnił. - Nie zapłaci tyle, ile pan, ale jest majątny i chce negocjować.

- No cóż, ja...

- Davidzie, czy możemy porozmawiać na osobności? - wtrąciła z naciskiem Libby.

Prawnik przeprosił i wyszedł przynieść sobie kawy. Prawdopodobnie słyszał takie pytanie już setki razy.

- Nie sprzedawaj motelu, proszę cię - zawołała, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły. - Zrób to dla mnie, dobrze?

- Ależ skarbie, nie miałem takiego zamiaru. A przynajmniej nie teraz.

- Och, dzięki Bogu - odrzekła z westchnieniem.

David ujął jej dłoń i pocałował, patrząc jej głęboko w oczy.

- Masz jakiś pomysł, prawda? Widzę to po twojej minie.

Nie mylił się, Libby miała plan.

Przy finansowym wsparciu Davida powstał Park Dziecięcy Haven View. W taki oto sposób Libby postanowiła wykorzystać swoje pieniądze.

Libby z aparatem w ręku nadzorowała burzenie zniszczonych drewnianych domków i przemianę motelu w bajkową krainę. Niektóre detale zostały, na przykład latarnie, przy jednej z nich bowiem poznała kiedyś Davida.

Było tam teraz tak pięknie, że ciocia Elizabeth i Doug postanowili wziąć w parku ślub w pierwszy weekend listopada. Przybyło kilkoro starych przyjaciół, a David i Libby pełnili honory świadków. Skromną ceremonię poprowadził ojciec James, a Libby robiła zdjęcia.

David zaproponował nowożeńcom pobyt w którymś ze swoich hoteli, ale odmówili, twierdząc, że są zbyt zajęci na miejscu, w hotelu Markiz.

- My również powinniśmy wziąć tutaj ślub - powiedział w zamyśleniu David. - To takie rodzinne miejsce.

- Zgoda - zawołała Libby, szczękając zębami, gdyż zrobiło się chłodno.

Rozpięła guziki smokingu Davida i wtuliła się w niego, czując, jak spowija ją ciepło jego ciała. Zamierzała pozostać tam już na zawsze.

